ŁOWIEC POLSKI



51 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 5 (966) MAJ 1949 R. CENA 60 ZŁ

KOMUNIKAT KOMITETU WYKONAWCZEGO POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

W związku z ogólnokrajową akcją Dnia Lasu, do której — na zebraniu organizacyjnym Komitetu Głównego w dniu 12 marca 1949 r. — została włączona ochrona przyrody i łowiectwo, wzywamy wszystkich Kolegów, członków Polskiego Związku Łowieckiego, do wzięcia masowego i bezpośredniego udziału w tej akcji, prowadzonej przez wojewódzkie, powiatowe i gminne komitety Dnia Lasu oraz w akcji ochrony łowiectwa, zleconej przez Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego.

BIURO POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Warszawa, Nowy Świat 35
telefon: 8.25.29

zawiadamia, iż posiada jeszcze na składzie niewielkie ilości egzemplarzy poniższych wydawnictw

BELETRYSTYKA ŁOWIECKA:

Zbigniew Kowalski — »Dziennik Myśliwski« . . . . . cena 500 zł
Aleksander Danilczuk — »Gawędy Łowieckie« (opracował do druku Zbigniew Kowalski):
I tom »Nad wodami Sujfunu« . . . . „ 420 zł
II tom »W Ussuryjskiej Tajdze« . . . . „ 420 zł
Mieczysław Mniszek Tchorznicki — »Zielonogłowy« „ 200 zł

KSIĄŻKI ŁOWIECKIE FACHOWE:

Prof. Józef Gieysztor — »Podstawy Łowiectwa« . . . . „ 150 zł
Mieczysław Mniszek Tchorznicki — »Oologia Ptaków Łownych . . . . „ 120 zł
W. Krawczyński — »Łowiectwo« . . . . „ 1200 zł
J. Kożuchowski — »Bekasy« . . . . „ 200 zł
Łowiectwo na Pomorzu — jednodniówka . . . . „ 300 zł

WYDAWNICTWA RÓŻNE:

Kalendarz Myśliwski na rok 1948 . . . . „ 300 zł
Statut P.Z.Ł. . . . . „ 25 zł

Nasza okładka: Żubr w puszczy — rys. Rozwadowski

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 5 (966) 1949 MAJ



Las we mgle *fot. W. Korsak*

ZBIGNIEW KOWALSKI

ROLA MYŚLIWEGO W AKCJI „DNIA LASU"

Las gadał:

„Szumię na cześć dzikiego zwierza, na cześć wolnej wędrówki wiatru, na cześć lęgu i żeru stworzenia żywego w moich gąszczach i cieniach. We mnie jest wieczność zadumy nad sprawami ważnymi, jak wschód i zachód, ciepło i zimno, głód i pożywienie, dobór miłosny par młodych i śmierć słabszych dla odrodzenia się w silniejszych tworach. We mnie jest chwila, ta drżąca, która obiecuje rozkosz i ta mocna, która rozkosz sprawia. Nic ponade mnie na polach nagich albo porosłych lepiankami twego pomysłu, człowiecze. Szukasz, szukasz, mieszczuchu, szczęśliwości poza mną, ale ze mnie wyszedłeś i do mnie powrócisz".

Tak kończy ostatni rozdział „Sobola i Panny" wielki myśliwy i wielki pośród największych naszych pisarzy, Józef Weyssenhoff.

„Przed stanowiskiem, jak morze głęboki i jak morze tajemniczy, zwartą ścianą stoi las sosnowy, zielony. Smutny, jesienny las, cichy jeszcze i śpiący, a taki swojski, taki znany, kochany od dziecka. Wyrósł razem z myśliwym, chowali się razem, pokochali za młodu, jedną mają duszę. I — bez słów zaczyna się rozmowa dwóch starych przyjaciół, rozmowa przez nich tylko rozumiana, dla nich tylko dorosłych dostępna, pełna szeptów, czaru, obietnic i dreszczów rozkoszy.

— Powiedzże, miły, co ześlesz mi dzisiaj,

co kryjesz dla mnie w swych głębiach, powiedz czy to dziś mój dzień?

A nad świerkami ranny wiatr przejdzie i las odpowiada szeptem:

— Cicho, zobaczysz, cicho, cicho!

Krew ucieka do serca, mimo zimnych pocałunków mgły pali twarz; dreszcz przechodzi po skórze. Cichy, nieodgadniony, zamknięty w sobie las coś szepcze, coś odpowiada: wiatrem, kiedy zadrga suchymi liśćmi, szelestem spadającej gałązki, ciszą i oczekiwaniem".

Tak pisze Stanisław Zaborowski w swej pełnej czaru książce w „Sercu kniei".

W taką to skończenie piękną formę ubierali swe myśli i swą miłość do naszego polskiego lasu polscy poeci myśliwi: Józef Weyssenhoff, Stanisław Zaborowski, Adolf Dygasiński, Stefan Krzywoszewski czy Julian Ejsmond. Niemniej pięknie wyczarowywali na płótnach urok rodzimej kniei, tej miary polscy mistrzowie palety, jak: Julian Fałat, Alfred Wierusz Kowalski, Józef Chełmoński, Stanisław Żukoski czy Józef Rapacki. I choć szary myśliwy nie będzie umiał oddać krasy lasu i ukochania kniei słowem czy pędzlem, tym niemniej, jeżeli przymknie oczy, to ujrzy las takim właśnie, jakim go malował Fałat, a kiedy zasłucha się w ciszę wieczoru, to odczuje pogwar drzew takimi samymi słowami, jakimi, pisząc, odczuwał je Weyssenhoff.

*

Myśliwemu las jest zawsze drogi i bliski sercu: i ten letni rozgrzany słońcem, pachnący macierzanką i bagnem, i ten jesienny, spatynowany śniedzią, purpurą i złotem, i ten groźny, zasypany śniegiem zimowy, zastygły w mrozie, milczący, i ten wiosenny, kiedy brzoza puszcza swe pierwsze soki, a na świerkach pękają oliwkowo - zielone miotełki świeżutkich igieł.

Tak, myśliwy związany jest nierozerwalnie z istnieniem lasu i dlatego tak dobrze jak nikt, potrafi zrozumieć płynące nurtem dostojnym, powolnym, ale jakże różnorodne i bujne życie lasu.

Bowiem las, to nie tylko gonne drzewa, zwarte drągowiny, bujne młodniaki czy pachnące żywicą zręby. Nieodłączną i składową część lasu stanowią również jego podszyt i runo, dziki zwierz i ptaki, barcie po pniach i gniazda po koronach, drobiazg owadzi i czarne mrowiska, kobierce jagodników i łany wiosennych sasanków.

I dlatego też Dzień Lasu winien stać się dniem odbudowy, ochrony i pielęgnacji nie tylko naszych drzewostanów, ale całego zespołu tej części naszej flory i związanej z nią fauny, którą zwiemy potocznie, jako całość — lasem. Dlatego też w dzisiejszej rzeczywistości, w Polsce Ludowej, kiedy dobrem narodowym stało się wszystko to, co przedstawia dla kraju najmniejszą choćby wartość gospodarczą, kulturalną czy krajobrazową, nie może zabraknąć w akcji Dnia Lasu polskiego łowiectwa i jego zapobiegliwego gospodarza — polskiego myśliwego.

*

Ponura, tragiczna i mroczna, długotrwała okupacja hitlerowska dążyła nie tylko do biologicznego wyniszczenia naszego Narodu, ale również do zdewastowania i kompletnego zdezorganizowania naszej krajowej gospodarki. A że las był w tej gospodarce jedną z najpotężniejszych i najbardziej podstawowych gałęzi, toteż ucierpiał bodaj że więcej od innych.

Nie wystarczyły okupantowi czyste zręby, wyprzedzające planowe cięcia o wiele lat naprzód, nie wystarczało zniszczenie prawidłowych zwarć w drągowinach, nie wystarczało wycinanie kilometrowych pasów ochronnych w zagajnikach wzdłuż szos, dróg, gościńców, linii kolejowych i telefonicznych. Ich zamierzenia szły dalej, sięgały głębiej. Niemieckie „forstamty" z pełną premedytacją pozostawiały latami niezalesione płazowiny — żerowisko dla wszelkich owadzich szkodników leśnych, niszczyły do ostatniego pnia lasy w pobliżu miast, niwecząc jednocześnie płuca tych osiedli, pozbawiały najuboższe gleby ostatniej sosenki, obnażając tym samym jałowe, okryte reniferowym mchem halizny — nieużytki, bądź wyzwalając lotne piaski.

Nie oparły się też tej niszczycielskiej i bynajmniej nie bezmyślnej, ale gruntownie i głęboko przemyślanej działalności, parki narodowe, rezerwaty leśne, a tym mniej zwierzyna łowna. Okupant z pasją polował na nasze jelenie i dziki, zające i bażanty, sarny i kuropatwy.

Dziś, kiedy drogą wyścigu pracy polskich leśników i częściowo drogą szerokiej akcji społecznej, przeprowadzonej w ramach Dnia Lasu zielenią się już na wielokilometrowych zrębach gęste jak szczotka zagajniki, kiedy lotne piaski, ujęte w kwadraty sadzonek, zatrzymały się w swym niszczycielskim marszu, kiedy tysiące hektarów nieużytków pokryło się rządkami puszystych upraw, kiedy pasy zieleni podeszły blisko ku miastu, by przeciąć je wzdłuż i wszerz, należy też, zwielokratniając jeszcze te same osiągnięcia, pomyśleć o innych elementach, z których składa się przecież cały zespół — las.

Należy pomyśleć o skromnej szarotce na kamienistym zboczu tatrzańskim o niedobitkach cisów na południu Kujaw, o świątkach w Puszczy Kurpiowskiej, pamiętających czasy szwedzkie, o żeremiach bobrowych nad Pasłęką, o pięknie jeziornego krajobrazu na Mazurach.

Należy też pamiętać o pospolitym zającu, wdzięcznej sarnie, barwnym bażancie, trzeba pamiętać o całej naszej zwierzynie łownej.

*

Na organizacyjnym zebraniu Dnia Lasu, które odbyło się w Ministerstwie Leśnictwa w dniu 19 II 1949 r., przedstawiciel Polskiego Związku Łowieckiego postawił wniosek, aby do akcji związanej z Dniem Lasu włączyć również odbudowę łowiectwa.

Wniosek ten uzyskał nie tylko aprobatę Ministra Bolesława Podedwornego i gorący aplauz zebranych, ale spowodował wystąpienie

Państwowej Rady Ochrony Przyrody z podobnymi wnioskami, odnośnie rezerwatów, pomników przyrody i ginących gatunków dzikich zwierząt.

Jednocześnie zaofiarowanie przez Polski Związek Łowiecki pracy i udziału, zarówno oddziałów terenowych Związku jak i wszystkich jego członków w akcji Dnia Lasu, wywołało żywy oddźwięk wśród obecnych na sali przedstawicieli: Wojska, Służby Polsce, Związku Młodzieży Polskiej i innych organizacji, a w następstwie ogólną deklarację zebranych do współpracy w ramach tej pięknej i doniosłej akcji społecznej.

Polski Związek Łowiecki nie ograniczył się bynajmniej do zgłoszenia swego udziału w Dniu Lasu, ale przystąpił do konkretnej pracy na tym odcinku w ramach swej organizacji. Niniejszy numer naszego organu oficjalnego, jakim jest Łowiec Polski, poświęcony jest dobrze zrozumianym, wspólnym poczynaniom leśnika i myśliwego nad odbudową i rozbudową naszych lasów.

Ogłoszono konkurs dla szkół i współzawodnictwo kół łowieckich w akcji zalesiania. W komitetach wojewódzkich, powiatowych i gminnych Dnia Lasu zasiadają przedstawiciele Polskiego Związku Łowieckiego. Wszyscy członkowie i zrzeszone kółka łowieckie biorą bezpośredni udział w akcji Dnia Lasu w terenie.

Praca Polskiego Związku Łowieckiego, jako organizacji, będzie tym pozytywniejsza i poważniejsza, jeżeli się zważy, że myśliwi polscy nie chodzą już samopas, że nie są też garstką ludzi klasowo uprzywilejowanych czy posiadających, ale stanowią zwartą i karną, blisko 32.000 grupę szarych myśliwych, składającą się w lwiej części z ludzi pracy.

Tak jak w stosunku do myśliwego z okresu Polski międzywojennej zmienił swe oblicze polski myśliwy dnia dzisiejszego, tak samo zmienił swą strukturę las polski, tak samo polskie łowiectwo uległo daleko idącym przeobrażeniom.

Las, będący do roku 1944 we władaniu większych właścicieli, był często gospodarowany rabunkowo i bez planu, a w wielu wypadkach tak prowadzony, by — z przekreśleniem innych wartości — służył wyłącznie polowaniu.



Rezerwat lipowy w Muszynie *fot. I. Mucha*

W pierwszym wypadku nie było w nim zwierzyny, w drugim zaś zwierzyny był nadmiar, który godził w interesy leśnictwa i rolnictwa.

Dziś wszystkie lasy na terenie kraju, oprócz lasów drobnej własności rolnej, należą do Państwa, wszystkie podlegają planowej i długofalowej gospodarce. A niedługo, jak Polska długa i szeroka, zaczną nasze lasy wracać przez gospodarkę bezzrębową do swej właściwej i naturalnej formy istnienia, nakreślonej ręką Przyrody.

W nowoczesnym, a jednocześnie pierwotnym lesie, nie będzie miejsca na jednolite drzewostany sosnowe, nieużytki i wypaleniska. Jest też rzeczą zrozumiałą, że nie może w nim zbraknąć zwierzyny łownej, która w imię koniecznej równowagi w przyrodzie i w ramach naturalnej pojemności danego łowiska, przebiegać będzie wszystkie nasze knieje, żyjąc tym, co las—

bez uszczerbku dla rozwoju drzewostanów — zastawi dla niej na swym stole.

Łowiectwo polskie w ciągu ostatnich czterech lat zmieniło też formy swego istnienia.

Łowiectwo w zrozumieniu dzisiejszym nie jest już zabawką możnych i zabiciem czasu przez bogatych snobów. Nowoczesne polskie łowiectwo to z jednej strony planowa i poważna gałąź gospodarki narodowej, z drugiej — słoneczne wczasy dla ludzi pracy, wytchnienie po ciężkim trudzie na łonie natury.



Buk św. Wojciech pod Gdańskiem *fot. J. Bułhak*

Nie będę w tym miejscu przypominał osiągniętych z łowiectwa użytków dla rynku krajowego i na eksport. Nie będę przypominał ton dziczyzny, tysięcy skór i futer, zdobytych w roku 1948, są to bowiem rzeczy powszechnie znane i UZNANE. Chcę tylko podkreślić, że realne tegoroczne osiągnięcia z łowiectwa mogą być w krótkim czasie zwielokrotnione.

Jednym z przyczynków do tego celu winien stać się Dzień Lasu.

*

Na czym ma polegać więc praca rzesz myśliwskich w akcji Dnia Lasu?

Jakie wskazania należy dać zrzeszonym w Polskim Związku Łowieckim kolegom, by zobowiązania swe wobec tej akcji wypełnili należycie?

Dzień Lasu, który w ubiegłych latach święcony był w ostatnią sobotę kwietnia, przedłużono w bieżącym roku na cały wegetatywny okres lasu, to jest od kwietnia do września. Okres ten ma być okresem realnej pracy dla dobra i przyszłości lasu. Efekt tak pojętych Dni Lasu ma się zapisać dotykalnymi wynikami: tysiącami hektarów upraw, szkółek leśnych, kilometrami zadrzewionych dróg i osiedli robotniczych.

Czasokres ten zbiega się i łączy ściśle z czasem lęgowym zwierzyny, a tym samym z okresem hodowlanym w łowiectwie. Niech więc myśliwy nie ustaje przez te pięć miesięcy w najistotniejszych dla łowiectwa zabiegach hodowlanych i ochronnych.

Przede wszystkim zwierzyna winna przez cały ten okres mieć w swych ostojach idealny spokój. Kategorycznie zabronione jest urządzanie polowań z naganką na króliki czy rogacze, bądź z psami na dziki. Kot niech nie śmie się podkradać do młodego zajączka, a kundys-kłusownik gonić za sarniukiem. Pastuszek musi pamiętać, że nie wolno jest niszczyć gniazd, jaj, piskląt i chwytać dopiero co urodzonych zwierzaczków.

Niech myśliwi zasieją na liniach oddziałowych i na poletkach śródleśnych, których im chętnie leśnik udzieli, żarnowiec, wieczne łubiny bądź owies, niech zasadzą bulwę i kartofle, by zwierz nie cierpiał głodu i nie szukał pożywienia na polach, niszcząc plony ciężkiej pracy rolnika.

Niech propagują wśród dziatwy szkolnej opiekę nad znalezionymi gniazdami, niech zamówią na pół roku wcześniej komplety zajęcy czy bażantów w Spółdzielni Jedność Łowiecka, dla odświeżenia krwi czy zasilenia łowiska.

Niech kółko myśliwskie wspólnym wysiłkiem i rękami swych członków urządzi i zasadzi na gołych polach jedną i drugą remizę świerkową, jako schronienie dla zwierzyny.

Pracę tę można rozłożyć na kilka lat. Jestem głęboko przekonany, że odnośne gminy bądź Państwowe Nieruchomości Ziemskie przydzielą chętnie na ten cel 2 do 5-arowe działki na drobnych nieużytkach, leżących jeszcze miejscami odłogiem.

Zresztą cały podręcznik łowiectwa trzebaby chyba zmieścić w ramach jednego artykułu, żeby wyczerpać tematy wiosenno - letniej hodowli i ochrony.

Poza akcją ściśle łowiecką w ramach akcji Dnia Lasu czeka też myśliwych sporo pracy w dziedzinie czysto leśnej.

A więc w ramach ogólnych, bezpośrednich prac zalesiania i zadrzewiania nie może zbraknąć członków Polskiego Związku Łowieckiego. Niech każdy z myśliwych odda jeden i drugi wolny dzień na sadzenie drzewek według wskazań najbliższego nadleśnictwa. Bo przecież każdy hektar pozyskanych upraw, to za kilkadziesiąt lat nowy las, nowe łowisko.

Niech ponadto każdy myśliwy pamięta, że zaśmiecanie lasów, zbędne palenie ognisk, łamanie drzewek dla ułatwienia sobie strzału na stanowisku, niszczenie kultur kołami wózka dla łatwiejszego podjazdu pasącego się rogacza —

to barbarzyństwo. Niech pamiętają o tym wszyscy i przestrzegaja kolegów przed podobnym, co najmniej niewłaściwym postępowaniem.

*

Dzień Lasu ma jeszcze jeden aspekt niezmiernie poważny: należytego współżycia i wzajemnego zrozumienia się myśliwego z leśnikiem.

Może leśnik nie zawsze pamiętał, że rola myśliwego jest ściśle związana z rolą, którą on sam spełnia w kniei. Może myśliwy nie zawsze rozumiał, że dażenia leśnika idą w tym samym kierunku, co i jego własne dążenia. Jestem najgłębiej przekonany, że wspólne umiłowanie lasu, zainteresowanie zwierzem łownym i wspólnie obchodzony czy opracowany Dzień Lasu, przyczynia się do obalenia tych drobnych, niezrozumiałych oporów wewnętrznych, które tkwia jeszcze gdzieniegdzie. Bo przecież myśliwy i leśnik sa naturalnymi sojusznikami w trosce o las i zwierzynę, wspólna jest ich droga, wspólne są zamiłowania i wspólny przyświeca im cel.

*

Zacząłem rozważania na temat Dnia Lasu cytatami z ksiażek naszych czołowych poetów myśliwych, którzy las i łowiectwo ukochali narówni a ponad wszystko.

Pozwolę sobie zakończyć artykuł również w formie literackiej, cytatą jednej z nowel Juliana Ejsmonda. Ejsmond pisał ją jako referent łowiecki Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w okresie, kiedy gospodarka Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych nie wyzwoliła się jeszcze z szablonowych niemieckich wzorów, idących w kierunku poprawiania przyrody, a ponadto rodzimej koncepcji, że zwierzyna jest wrogiem lasu.

Poeta, myśliwy, urzędnik Ejsmond napisał wtedy, że: „...las bez zwierzyny jest jak kobieta bez wdzięku...".

*

Dziś nie boimy się już tego, żeby las przestał się do nas wdzięcznie uśmiechać smukłą sylwetką głuszca, tokującego na gonnej sośnie wiosną o świcie, centkowaną sukienką letniego koźlątka, niepewnie jeszcze stojącego na przesadnie cienkich nóżkach w kępie odrostowej olszyny, błyskiem wyszlifowanych na biało grotów jeleniego wieńca, który rwie gniewnie świerczek w czasie jesiennych godów czy też rudym płomieniem lisiury, dyndującego kopnym śniegiem skroś brzozowej gęstej drągowiny o zimowym wieczorze.

Nie! Nie boimy się stracić tego najwdzięczniejszego z uśmiechów, uśmiechu Przyrody. Jest on bowiem od dzisiaj pod przemożną opieką Dnia Lasu, a dalej całego społeczeństwa i Państwa.

Zbigniew Kowalski

Inż. JULIAN BOHUSZ

GOSPODARKA BEZZRĘBOWA A ŁOWIECTWO

Chwila obecna, jak nigdy może dotychczas u nas, kojarzy zagadnienia gospodartswa leśnego ze sprawami łowiectwa. Dziś właśnie leśnik i myśliwy rozpatrują te sprawy łącznie, traktując je jako jeden wspólny problem.

Symbolem, widomym znakiem wspólnej myśli i wspólnych planów rozwojowych leśnictwa i łowiectwa jest udział polskiego świata łowieckiego w święcie leśnika — dnach lasu, jest również fakt wypisania przez leśnika w programie dni lasu obok zadania odbudowy leśnictwa także odbudowy naszego łowiectwa.

Leśnictwo polskie święci dziś podwójnie dni swego odrodzenia. Raz — dźwigania się z ruiny zniszczeń wojennych i po drugie — zwycięstwa myśli postępowej w programie zasad gospodarstwa leśnego.

Leśnik polski z dniem dzisiejszym zrywa z szablonem i wkracza na drogę gospodarki bezzrębowej. Rok 1948 był w tym względzie rokiem przygotowań, eksperymentów, doszkolenia kadr i kreślenia planu działania na najbliższe lata.

Rok 1949 wprowadzi już gospodarkę bezzrębową na obszarze 40% lasów państwowych, a w następnych latach przewidziane jest dalsze rozszerzenie jej zakresu.

Na czym będzie polegał wpływ bezzrębowego gospodarstwa leśnego na gospodarkę łowiecką i jaki będzie stosunek jej zasad do postulatów łowiectwa?

Na te pytania, które padają ze strony świata łowieckiego, leśnik winien odpowiedzieć z zachowaniem całkowitego zrozumienia dla podstawowych wymagań i wagi, zarówno gospodarki leśnej jak i łowieckiej.

O ile taki czy inny system gospodarowania w lesie może zazębiać się, ewentualnie kolidować ze sprawami gospodarki łowieckiej?

Na pierwszą część pytania winna dać odpowiedź forma, w jakiej kształtują się warunki bytowania zwierzyny w łowisku leśnym, zagospodarowanym metodą bezzrębową, ewentualnie jakąkolwiek inną.

Problem niebezpieczeństwa kolizji bezzrębowego systemu gospodarki leśnej z interesami łowiectwa może naświetlić analiza wymagań, jakie ten system gospodarowania stawia przed leśnikiem.

Zacznijmy od sprawy pierwszej i zastanówmy się jak dziś wygląda przeciętne łowisko leśne i jak będzie wyglądało po latach gospodarki bezzrębowej.

Panującym do dziś systemem gospodarki leśnej w Polsce jest system zrębowy. Rozumiemy powszechnie na czym taki szablon polega. Obiekt leśny, stanowiący samodzielną jednostkę gospodarczą, składa się z dużej ilości poszczególnych drzewostanów, zazwyczaj jednowiekowych, jednogatunkowych lub prawie jednogatunkowych, stanowiących już produkt sztucznej gospodarki człowieka. Drzewostany te poddaje gospodarujący leśnik różnym zabiegom hodowlanym

i pielęgnacyjnym, a po dojściu ich do zaplanowanego z góry wieku rębności, usuwa jednorazowo lub w krótkim okresie kilku, najwyżej kilkunastu lat. Oczyszczony zrąb zalesiany jest ponownie, najczęściej sztucznie, rzadziej w drodze samosiewu.

Cechą charakterystyczną drzewostanów, zagospodarowanych od lat metodą zrębową i skutkiem poglądów leśno - ekonomicznych ubiegłego stulecia, jest panujący powszechnie na niżu typ czystych drzewostanów sosnowych, a w górach świerkowych, zubożenie składu gatunkowego lasów i runa leśnego, zanik podszytów i degradacja siedlisk leśnych.

Tak zcharakteryzowane łowisko leśne stanowi szachownicę drzewostanów, różniących się bardzo warunkami egzystencji zwierzyny i wskutek tego odgrywających zupełnie różną rolę w dziennym czy rocznym cyklu jej bytowania.

Tak np. żerowiska zwierzyny będą koncentrowały się na młodych uprawach, łąkach, haliznach czy liniach podziału przestrzennego, wreszcie w drzewostanach najstarszych, dostatecznie prześwietlonych, jeśli w nich nastąpi już pojaw runa i podszytów krzewiastych. Nigdy natomiast zwierzyna nie znajdzie żeru w zwartych kompleksach młodników i drągowin iglastych, gdzie znów będzie szukała bezpiecznego schronienia, zwłaszcza zwierzyna gruba. Objawy spałowania drągowin przez zwierzynę płową są zazwyczaj dowodem skrajnego zubożenia łowiska i głodowych warunków jej egzystencji.

Obszar żerowisk zwierzyny w lesie, zagospodarowanym metodą zrębową, można ocenić szacunkowo najwyżej na 25% w stosunku do powierzchni całego łowiska. Na tej powierzchni koncentrują się możliwości wyżywienia zwierzostanu i od bogactwa tych możliwości zależy pojemność, że tak powiem, łowiska.

Uprzytomnijmy sobie przy tym, jakim żerem zwierzyna w opisywanych warunkach dysponuje. Pamiętajmy, że w składzie gatunkowym lasów Polski drzewa liściaste reprezentowane są udziałem zaledwie 13%. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że jest to cyfra przeciętna i znaczną jej część stanowią lokalne zgrupowania drzewostanów liściastych czystych lub z przeważającym udziałem gatunków liściastych na specjalnych siedliskach, udział ich domieszki w masowych zespołach sosny lub świerka spadnie do bardzo niskiego odsetka, o minimalnym znaczeniu dla rozwiązania problemu wyżywieniowego zwierzyny.

Cechą charakterystyczną trybu życia zwierzyny w czystych drzewostanach jednowiekowych i jednogatunkowych jest przemieszczanie się w zależności od pory dnia jak i pory roku. Zwierzyna gdzie indziej żeruje, a gdzie indziej zalega na spoczynek.

I pod innym jeszcze względem zrębowa gospodarka leśnika oddziaływa na tryb życia zwierzyny. Chodzi tu o jej spokój, czyli, z innej strony podchodząc do zagadnienia, o rozplanowanie prac gospodarczych w terenie. Prace te przy gospodarstwie zrębowym, jak eksploatacja lasu, odnowienie, czyszczenia, trzebieże, żywicowanie itp., koncentrują się na mniejszych powierzchniach manipulacyjnych, pozostawiając stosunkowo duże obszary ostoi zwierzyny we względnym spokoju.

Z drugiej jednakże strony nasilenie prac leśnych w tych ośrodkach terenowych jest bardzo duże, wywołuje pewnego rodzaju „rewolucję" w trybie życia zwierzyny i wypłasza ją z pewnych partii lasu na dłużej.

Szkody, wyrządzone przez zwierzynę w gospodarstwie zrębowym, skupiają się również na pewnych tylko stadiach rozwojowych drzewostanów, a więc uprawach, młodnikach i drągowinach iglastych, zwłaszcza, jak Niemcy twierdzą, czyszczonych i trzebionych w wypadkach spałowania przez zwierzynę.

Przy większym nasileniu szkód leśnych, co z reguły jest konsekwencją ubóstwa pokarmowego łowiska, stosuje leśnik ochronę drzewostanów zagrożonych, jak np. grodzenie upraw i młodników. Są to zabiegi wysoce kosztowne tak w inwestycji jak i w konserwowaniu. Ślady takich urządzeń ochronnych na wielką skalę — można widzieć w lasach zachodniej Polski, gdzie ongiś Niemcy usiłowali godzić przerost hodowli zwierzyny płowej z gospodarką leśną w ubogich drzewostanach sosnowych.

Zastanówmy się z kolei rzeczy, jakie warunki przyniesie gospodarce łowieckiej leśna gospodarka bezzrębowa.

Co to przede wszystkim jest gospodarka bezzrębowa i na czym ona polega?

Założeniem programowym jej zasad jest przywrócenie lasowi oblicza pierwotnego, kształtowanego ręką przyrody oraz takie zmodyfikowanie techniki człowieka, aby stanowiła ona raczej pomoc w naturalnych procesach życiowych lasu, i aby żaden z jej przejawów nie miał charakteru kataklizmu, przerywającego radykalnie ciągłość biocenozy środowiska leśnego.

Największym i najbardziej radykalnym z tych kataklizmów jest zrąb czysty. Dlatego gospodarka bezzrębowa nie uznaje tego sposobu użytkowania lasu, dlatego jest „bezzrębową".

Las, w myśl założeń gospodarki bezzrębowej i o strukturze, w której gospodarkę taką prowadzić można, musi być jak najbardziej zbliżony do lasu pierwotnego. Musi mieć jak najbardziej urozmaicony skład gatunkowy, który jest normowany jedynie warunkami siedliska a nie kalkulacją ekonomiczną człowieka. Musi być dalej mieszaniną wszystkich klas wieku danego gatunku, od młodych nalotów do egzemplarzy dojrzałych do wyrębu. Musi odnawiać się samorzutnie w drodze samosiewu a nie przez stadium jednowiekowej uprawy, której sztucznie daje początek ręka człowieka.

Plan gospodarczy w tak opisanym obiekcie leśnym polega na podpatrzeniu i zrozumieniu składu gatunkowego zespołu leśnego, jaki natura uznała za najwłaściwszy dla danych warunków siedliskowych, a następnie na dostosowaniu zabiegów hodowlanych do utrzymania kierunku rozwojowego i typu drzewostanu w harmonii z wzorcem naturalnym.

Zabiegi hodowlane będą polegały na ułatwieniu odnowienia drzewostanu w pożądanym składzie gatunkowym, wyróżnieniu z biegiem czasu poszczególnych osobników, pod każdym względem najlepszych, dla utrzymania ich do wieku pełnej wartości użytko-

»Lasy bogactwem, płucami i radością Narodu«

wej pielęgnacji drzewa we wszystkich studiach wieku, wreszcie posztucznej, indywidualnej eksploatacji poszczególnych egzemplarzy, które osiągnęły warunki między poszczególnymi drzewostanami polegają tylko na składzie gatunkowym, uzależnionym od lokalnych właściwości siedliska.



Niedźwiedź *rys. A. Grocholski*

dojrzałości użytkowej. Wszystkie zabiegi hodowlane i eksploatacyjne w gospodarstwie bezzrębowym dokonują się na całym obszarze zagospodarowania. Również wygląd drzewostanów w takim gospodarstwie w warunkach idealnych jest jednakowy, a różnice po-

Nie ma w gospodarstwie bezzrębowym upraw, młodników i zrębów. Wszystkie te stadia rozwojowe drzewostanu jednakowego są tu pomieszane, występują jednocześnie obok siebie na każdej jednostce powierzchni.

Z tego pobieżnego opisu lasu bezzrębowego wynikają już jego cechy charakterystyczne, jako łowiska. O ile więc las taki zbliża się charakterem do typu lasu pierwotnego, o tyle zwierzyna znajduje w nim najbardziej naturalne warunki bytowania a przede wszystkim żeru.

Bogactwo florystyczne lasu pierwotnego zapewnia zwierzynie większą obfitość i rozmaitość pożywienia naturalnego, przy tym warunki zdobywania pokarmu są dla zwierzyny najbardziej właściwe, z uwagi na jego rozproszenie, przez konieczność ruchu, poszukiwania i zwolnienia tempa przyjmowania żeru.

Ze struktury lasu bezzrębowego wynika, że miejscem żerowania zwierzyny jest właściwie cały teren łowiska, jak również miejscem jej zalegania. Zwierzyna jest więc mniej więcej równomiernie rozprowadzona po całym łowisku i skutki jej obecności nie skupiają się na pewnych tylko partiach lasu i kategoriach drzewostanów, jak to ma miejsce przy gospodarce zrębowej oraz drzewostanach jednowiekowych i jednogatunkowych. Mówiąc o skutkach obecności zwierzyny, mam przede wszystkim na myśli szkody przez nią wyrządzane. Szkody te będą równomierniej, a więc w słabszym nasileniu rozprowadzone po całym łowisku, przy czym muszą mieć inny nieco charakter i inne znaczenie.

Powiedzieliśmy wyżej, że zasadnicze szkody w gospodarstwie leśnym wyrządza zwierzyna w uprawach, młodnikach, ewentualnie drągowinach przez spałowanie. Ale powiedzieliśmy też, że zasadniczą przyczyną szkód jest brak pokarmu naturalnego w łowisku. Większa obfitość tego pokarmu w lesie pierwotnym usuwa w dużej mierze przyczynę szkód, a więc ich niebezpieczeństwo.

Poza tym inne zupełnie znaczenie gospodarcze ma rozproszenie objawów szkód, a inne skupienie ich na małej przestrzeni. Tak np. przygryzanie upraw, sadzonych ręką człowieka na powierzchni odnowieniowej, jeśli wystąpi w większym nasileniu, może całkowicie zniszczyć efekt zalesienia i spowodować konieczność powtórzenia tego zabiegu. Obfitość i zagęszczenie nalotów przy odnowieniu naturalnym są natomiast zazwyczaj tak duże, że pewne ich przerzedzenie przez zwierzynę może być nawet korzystne, a w każdym razie ma niepomiernie mniejsze znaczenie niż w uprawie sztucznej.

Te same uwagi dotyczą w dużej mierze innych rodzajów szkód, wyrządzanych przez zwierzynę.

W konkluzji możemy wyrazić nadzieję, że w lesie o strukturze naturalnej szkodliwość zwierzyny stanie się problemem o znacznie mniejszej wadze, nawet przy możliwości wydatnego zwiększenia liczebności pogłowia. Tak zresztą układają się warunki w lesie pierwotnym, z którego nowoczesna teoria gospodarstwa leśnego czerpie wzory dla praktyki hodowlano-pielęgnacyjnej.

Obiekcją, jaką wielu hodowców - myśliwych wysuwa w stosunku do gospodarki bezzrębowej, jest kwestia spokoju w łowisku. Jak to już powiedzieliśmy wyżej, prace gospodarczo - leśne w tych warunkach obejmują jednocześnie całość obiektu leśnego i nie są skoncentrowane w pewnych jego rejonach. Wszędzie więc i w każdym czasie, teoretycznie biorąc, zwierzyna będzie niepokojona.

Jest to jednakże wniosek w dużej mierze teoretyczny. Ostatecznie przy takim czy przy innym systemie gospodarowania, pewna określona suma prac hodowlanych i eksploatacyjnych musi być w lesie wykonana. Przyjmując nawet, że gospodarstwo bezzrębowe, jako bardziej intensywne, będzie wymagało większego zakresu tych prac, to jednakże będą one występowały w dużym rozproszeniu na całym obszarze terenu leśnego i efekt ich, jeśli chodzi o niepokojenie zwierzyny, będzie niepomiernie mniejszy. Ścięcie tu czy tam pojedyńczego drzewa, praca dwu — trzech drwali, nie dadzą porównać się z efektem obecności na czystym zrębie kilkudziesięciu ludzi, zajętych masową ścinką i wyróbką drewna. Podobnie rzecz ma się z trzebieżą całych drzewostanów w gospodarce zrębowej i wielu innymi pracami leśnymi.

Pamiętać należy, że w lesie zagospodarowanym, a z takim tylko lasem mamy w naszych warunkach do czynienia, zwierzyna nawet najgrubsza jest oswojona z obecnością człowieka i nie reaguje zbyt silnie na jego normalną krzątaninę.

We wniosku ostatecznym wydaje mi się, że gospodarka bezzrębowa i typ lasu, do jakiego ta gospodarka zdąża, gwarantują łowiectwu niepomiernie lepsze warunki rozwojowe, a ponadto, co jest rzeczą również ważną, gwarantują daleko idącą harmonię między interesami leśnictwa i łowiectwa.

Pozostaje jeszcze do rozważenia problem okresu przejściowego do gospodarki bezzrębowej, tj. okres przebudowy drzewostanów od formy obecnej do struktury lasu pierwotnego. Rzecz oczywista, że proces ten musi potrwać czas dłuższy i będzie wymagał specjalnych zabiegów hodowlanych, właśnie dla jego przyśpieszenia.

Zabiegi hodowlane leśnika w tym okresie przejściowym będą polegały na przyśpieszeniu procesu wzbogacenia składu gatunkowego drzewostanów i zróżniczkowania ich struktury. Dla umożliwienia odnowienia naturalnego i rozwoju podrostów, będą dokonane odpowiednie prześwietlenia drzewostanów, a gatunki, dotychczas w nich nie występujące, będą wprowadzane sztucznie: w drodze podsadzania i podsiewów. Wspomniany wyżej obecny udział gatunków liściastych w wysokości 13% będzie tą drogą podwyższony do 25 — 30%. Dla wzbogacenia i utrzymania gleby w należytej sprawności będą na dużych obszarach wprowadzane i pielęgnowane podszyty liściaste.

Przyznać należy, że te przejściowe poczynania hodowlane mogą być w szeregu najbliższych lat narażone na niebezpieczeństwo ze strony zwierzyny. Rozproszenie ich na większych obszarach znacznie utrudni leśnikowi zabiegi ochronne i podniesie ich koszt.

Z tymi względami i trudnościami okresu przejściowego, zarówno leśnik jak i myśliwy muszą liczyć się, jako ze złem koniecznym. Trudności te jednakże muszą oni rozwiązać w drodze zgodnej współpracy, we wzajemnym zrozumieniu i poszanowaniu zakreślonych ręką Natury wymagań życiowych, zarówno lasu jak i zwierzyny.

Pewność tego zrozumienia i dobrej woli daje nam właśnie zgodna współpraca łowcy i leśnika pod hasłem „Dni lasu", hasłem odrodzenia leśnictwa i łowiectwa.

Inż. Julian Bohusz

Marzec 1949 r.

Inż. M. MARCHLEWSKI

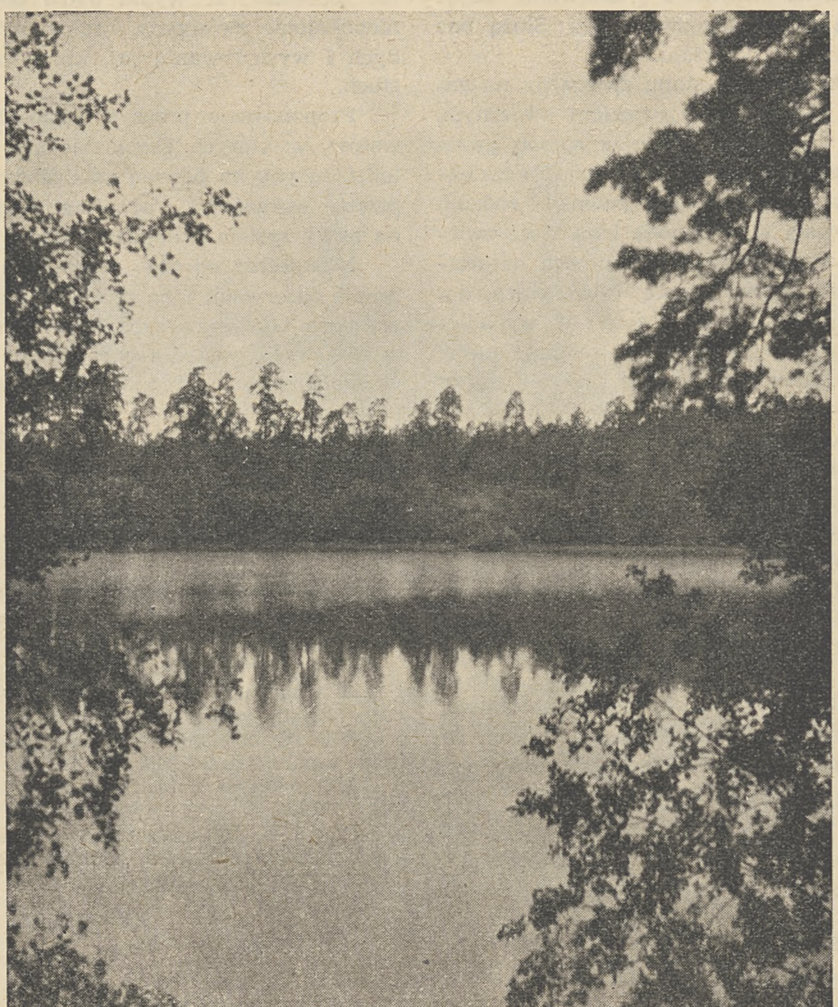
ZWIERZYNA ŁOWNA W LASACH NOWEGO TYPU

Wł. Zabiełło, w artykule ogłoszonym w Łowcu Polskim nr 12, r. 1948, widzi w wprowadzonej w lasach państwowych gospodarce bezzrębowej niebezpieczeństwo dla zwierzostanu. Niebezpieczeństwo to wyraża się — zdaniem autora — w tym, że gospodarka ta wnosi do lasu znacznie silniejszy niepokój niż dotychczasowa gospodarka zrębowa. Autor nie porusza zupełnie kwestii czy wprowadzona gospodarka ma jakieś dodatnie strony z punktu widzenia łowieckiego czy też nie.

wy wszestronnie w Ameryce. Pozwolę sobie przytoczyć poniżej kilka prac z tego zakresu, na których opieram się w niniejszych wywodach.

Jednym z celów gospodarki bezzrębowej jest uzyskanie drzewostanów różnogatunkowych i różnowiekowych, a więc najbardziej zbliżonych do lasów pierwotnych. Drzewostany takie stanowią naturalny zespół roślinności, zapewniający zamieszkującej go faunie optymalne warunki do życia.

Wprowadzenie takich drzewostanów ma ograni-



Leśne jezioro *fot. W. Puchalski*

czyć powierzchnię lasów, niszczonych przez owady i pożary, a zatem, nadająca się do zamieszkania przez zwierzynę powierzchnia leśna, powinna się zwiększyć. Jednolite drzewostany świerkowe i sosnowe, pozbawione w wieku drągowiny podszycia, nie mogą być uważane za ostoję dla zwierzyny, gdyż nieprodukują one żadnej paszy. Chapman określa takie drzewostany z punktu widzenia łowieckiego mianem „pustynia", dla podkreślenia, że nie mają one żadnego znaczenia jako ostoja dla zwierzyny.

Nie rozpatrując zupełnie sprawy jakie znaczenie ma wprowadzenie gospodarki bezzrębowej dla gospodarstwa leśnego, postarajmy się rozważyć to zagadnienie z punktu widzenia gospodarki łowieckiej. Samo zagadnienie nie jest czymś zupełnie nowym. Wpływ gospodarki przerębowej na zwierzostan rozpatrywał w Polsce Wróblewski, istnieje również na ten temat szereg prac niemieckich.

Z punktu widzenia ochrony przyrody i utrzymania równowagi w przyrodzie w związku z gospodarowaniem naturalnymi zasobami przyrody, badano te spra-

Gospodarka bezzrębowa zlikwiduje takie powierz-

chnie, wprowadzając w miejsce nich drzewostany różnogatunkowe i różnowiekowe, z domieszką krzewów liściastych, które stanowić będą bez wątpienia znacznie lepszą ostoję dla zwierzyny.

Nie można zaprzeczyć, że wprowadzone przez człowieka zupełne zręby stają się po zalesieniu, na okres kilkunastu lat, a nawet więcej, terenem, specjalnie ulubionym przez zwierzynę, której pogłowie na tych terenach się zwiększa. Zauważył to, między innymi, Wróblewski na terenie Puszczy Białowieskiej w stosunku do jelenia.

W Niemczech, w lasach zagospodarowanych przerębowo, wprowadzono specjalnie dla celów łowieckich tzw. zręby łowieckie czyste: „Jagdkahlschlag". Zręby te długości około 250 m i szerokości około 50 m zarastają po odnowieniu trawami i krzewami, stając się pierwszorzędną ostoją dla zwierzyny. Służą one również do obserwacji i odstrzału.

Zjawisko zwiększania się stanu zwierzyny na zalesionych zrębach jest jednak zjawiskiem sztucznym, wywołanym przez człowieka, który w sposób gwałtowny zmienił przez wyrąb strukturę lasu. To zwiększenie się pogłowia zwierzyny jest pewnego rodzaju zakłóceniem równowagi w biocenozie lasu. Ilość zwierzyny, jaka może występować w warunkach naturalnych na danym terenie, wyraża się ilością paszy, dostępnej dla zwierzyny pod koniec zimy. W wypadku założenia sztucznej kultury na zrębie — ilość paszy ulega zmianie na dłuższy czy krótszy przeciąg czasu.

W gospodarce bezzrębowej okresów takich nie będzie. Chcąc jednak zapewnić zwierzynie dostateczną ilość paszy i stworzyć jej odpowiednie ostoje, pamiętać należy o umożliwieniu rozwoju krzewom liściastym i pozostawieniu małych luk niezalesionych — dla porostu traw i krzewów. Na to poświęcenie powierzchni produkcyjnej gospodarka leśna powinna się zgodzić, gdyż zakrzewione luki nie będą nieużytkiem, a przyczynią się do produkcji mięsa i skór, jakie daje zwierzyna.

Przechodząc do omówienia niebezpieczeństwa, jakie ma wprowadzić gospodarstwo bezzrębowe do lasów, tj. „więcej obcego życia i ruchu", to uważam, że obawy pod tym względem są przesadzone.

Zwierzyna na ogół przyzwyczaja się stosunkowo łatwo do ludzi, pracujących w lesie. Natężenie tego ruchu na jednostce powierzchni będzie nieznaczne i stosunkowo krótkotrwające w danym miejscu. Założenie zrębu i wywóz drewna przy systemie zrębowym trwa na danej powierzchni kilka tygodni i dłużej.

W gospodarce bezzrębowej praca w jednym miejscu może trwać od kilku godzin do kilku dni, poza wypadkami klęsk elementarnych (wiatrołom, żer owadów itp.). Przy gospodarce bezzrębowej odpadnie, względnie znacznie się zmniejszy, penetracja człowieka do lasu, pozostająca w związku z odnowieniem lasu, które w znacznej części sprowadzać się będzie do odnowienia naturalnego. Ze względu na to odnowienie naturalne, odbywające się stale na całej powierzchni, musi zniknąć z lasu wypas bydła. Nikt chyba nie zaprzeczy, że wypas bydła powoduje największe niepokojenie zwierzyny i to w okresie rzucania młodych i wysiadywania jaj, które masowo niszczy pastuch.

Proponowane przez W. Zabiełłę założenie rezerwatów, w których eksploatacja, a nawet wchodzenie ludzi, byłyby na pewien czas zabronione, mogłyby dać pewne wskazówki, odnośnie reagowania zwierzyny na nowy system gospodarki leśnej.

Niezależnie od tego uważałbym za celowe prowadzenie obserwacji i na terenach eksploatowanych a to w celach porównawczych co do wyników osiągniętych w rezerwach oraz dla opracowania ewentualnych zagadnień, które mogą ujawnić się właśnie na terenach zagospodarowanych.

Może tych kilka uwag wywoła dalszą dyskusję ze strony leśników i myśliwych. Najbardziej pożądane byłyby uwagi uzyskane na podstawie obserwacji w terenie, a wyjaśniające wpływ nowowprowadzonego systemu gospodarki leśnej na zwierzostan.

Inż. M. Marchlewski
Kierownik Tatrzańskiego Parku Narodowego

LITERATURA

H. Chapman — Foresty and Game manegement · Journal of Forestry" vol. 15-1937.
J. W. Gabrielson — Forestry and Wildlife manegement tamże vol. 9-1090.
J. Morton — Wildlife an important product, tamże vol. 34 1936.
Bieger — Beiträge zur Wild und Jagdkunde 1931.
Dr. K. Wróblewski „Żubr Puszczy Białowieskiej".

MARIAN STYPIŃSKI

DZIEŃ LASU A ŁOWIECTWO

Słynęła ongiś Polska z mnogości wszelakiego zwierza. Tury, żubry, niedźwiedzie, łosie, rysie, sobole i bobry — oto potężni niegdyś władcy nieogarniętych okiem puszcz, moczarów, jezior i rozlewisk rzecznych. Grał wówczas potężny bór studźwięcznym akordem życia. W mrokach jego toczyły się walki władców kniei, od których drżały wielowiekowe drzewa. Natura prawieczna przemawiała potężnym głosem żubra, ślepiami żbików, zielonymi oczami rysi i szumem drzew, śpiewała hymn na cześć nieustraszonych ówczesnych, na poły dzikich łowców.

Z latami wzrastała kultura, postęp, wzrastała ludność. Bezustanny zgrzyt pił i uderzenia toporów rozerwały jednolite przestrzenie leśne, rwał się na strzępy zielony płaszcz, jedynie wstęgami rzek przetykany i szmaragdami jezior usiany.

Dziś stoimy przed faktem dokonanym. Znikły wielkie lasy, a razem z nimi zubożała ich chluba i ozdoba — zwierzyna, a niektórzy dawni mieszkańcy lasów: tur, żubr, niedźwiedź i soból znikły bezpowrotnie.

Huragany wojen, zwłaszcza dwóch ostatnich, dopełniły zniszczenia. Dziś szeregi ciemnych pni po wyrąbanym lesie stoją przed nami, jako mogiły ogromnych pobojowisk leśnych i już nie konarami potężnych drzew, lecz runem leśnym, dzwonkami liliowych wrzosów, kwiatem sasanki, paprocią i zielonym jałowcem wołają o pomoc.

Resztki lasów stoją ciche, nieme, z rzadka przemknie szarak, częściej rudy mikita upasiony wojenną padliną, czasem sarna, często okaleczała. I śpiew skrzydlatej braci taki cichy, boć i ona straciła swe przytulne i zaciszne zielone domy.

to podniesienie zwierzostanu, jego ilości i jakości. Zwracam się przeto do miłych wyznawców św. Huberta z gorącym apelem o wzięcie udziału w obecnej akcji Dnia Lasu.

Myśliwy, mając często styczność ze zwierzyną, zna



Łoś na mszarach *rys. A. Grocholski*

W resztkach lasów żyje resztka zwierzyny. Dziś całe społeczeństwo polskie, rozumiejąc najżywotniejsze potrzeby kraju, stanęło do walki o las, o zabezpieczenie tego, co posiadamy i o odbudowę powierzchni leśnej. W szeregach walczących o las nie może braknąć myśliwych — łowców. zrzeszonych w gminnych i powiatowych kołach łowieckich. Jasne i proste jest, że łowiectwo jest ściśle z lasem związane. Bez lasu nie ma łowiectwa. Podniesienie lesistości kraju,

jej potrzeby i nikomu bardziej nie leży na sercu podniesienie jej stanu i szczęśliwa jej rozmnoża. Myśliwy bardziej niż ktokolwiek inny wie, że knieja to źródło największych wzruszeń łowieckich.

Zmieniają się czasy, ludzie i ich poglądy, jak mówi dawne przysłowie: „Tempora mutantur et nos mutamur in illis". Jedno jest niezmienne — to piękno przyrody. Z dusznych miast, z szarych zmagań trudnego powojennego życia uciekamy do natury, ucie-

kamy tam, gdzie przemyka zwierz, gdzie kwiat leśny pachnie, gdzie ptaki gniazda swe ścielą i pieśni śpiewają, gdzie na zielonym mchu lub białym dywanie śniegu czerwona plama krwi nie o zbrodni, lecz o chwale łowieckiej mówi

Nasi wielcy wieszczowie z szarzyzny życia uciekali w krainy, stworzone przez własne romantyczne wyobraźnie, a myśliwi uciekają do istoty realnej, jaką jest natura. Podziwiając jej cuda, budzi się w nas tęsknota do czegoś lepszego. Moc myślistwa wydobywa u nas na wierzch wszystkie dobre uczucia, które drzemią w otoczeniu obłudy ludzkiej, a natura czyni nas innymi, lepszymi ludźmi. Z latami zżywamy się coraz silniej z naturą i z niej czerpiemy niespożytą moc na nowe trudy codziennego życia.

Obecny okres, to leśne rekolekcje całego społeczeństwa, to okres przygotowania szerokich mas do największego naszego święta, jakim jest Dzień Lasu. Myślę, że brać myśliwska najlepiej zrozumie mój apel pomocy w akcji Dnia Lasu. Każdy weźmie sobie za honor łowiecki jak najwięcej uczynić dla lasu, a tym samym dla umiłowanego łowiectwa. Niech w gronie swych myśliwych, na terenie swojej gromady uczyni wszystko: słowem, czynem i dobrym przykładem, aby wskrzesić las, a z nim jego nielicznych dziś mieszkańców i dawne tradycje łowieckie. Gdy brać łowiecka, tak dziś liczna, skoordynuje swe wysiłki, wówczas Dzień Lasu będzie zmartwychwstaniem największego piękna łowieckiego, jakim jest las, a w jego pachnących mrokach żyć będzie wszelki zwierz, tak miły naszemu sercu.

Marian Stypiński

JÓZEF OSTROWSKI

JAK ZAKŁADAĆ REMIZY ŚRÓDPOLNE DLA DROBNEJ ZWIERZYNY

W ramach ogólnokrajowej akcji „Dnia Lasu" Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego zalecił wszystkim stowarzyszeniom (kółkom) łowieckim założenie i zalesienie rękami kolegów remiz leśnych na dzierżawionych polach. Przy zakładaniu remiz radą techniczną służyć będą, w myśl zaleceń Ministerstwa Leśnictwa, miejscowe nadleśnictwa.

O przydział odpowiedniego terenu, z leżących jeszcze miejscami nieużytków, winny stowarzyszenia (kółka) wystąpić do właściwych gmin lub zarządów Państwowych Nieruchomości Ziemskich, zaś o bezpłatne dostarczenie sadzonek — do terenowych komitetów „Dnia Lasu".

Akcję zakładania i zalesiania remiz stawia Polski Związek Łowiecki na płaszczyźnie współzawodnictwa poszczególnych stowarzyszeń (kółek łowieckich).

W związku z tą akcją zamieszczamy poniżej artykuł inspektora łowiectwa w Ministerstwie Leśnictwa inż. Józefa Ostrowskiego, na temat urządzania remiz śródpolnych dla zwierzyny łownej, który stanowić będzie cenny materiał dla wszystkich stowarzyszeń (kółek) łowieckich.

Redakcja

Remizami w języku łowieckim nazywamy niewielkie kępy młodych lasków i zarośli, rozrzucone pośród rozległych obszarów pól uprawnych, dające drobnej zwierzynie schronienie przed drapieżnikami i stanowiące dogodne miejsca dla zakładania gniazd.

Tu od razu należy wyjaśnić, że pod mianem zwierzyny drobnej mamy na myśli kuropatwy i zające a także bażanty.

Tam gdzie brak remiz naturalnych lub gdzie jest ich za mało, zakładamy remizy sztuczne, nie zaniedbując jednak starań o przystosowanie istniejących już kęp do wymogów łowiectwa.

Remizy powinny spełniać następujące zadania:

1) Chronić zwierzynę w zimie przed okiem drapieżników, zwłaszcza skrzydlatych, i w razie nadciągającego niebezpieczeństwa dać jej możność szybkiego ukrycia się w gąszczu.

2) Zapewnić kuropatwom zaciszne i dobrze ochronione od wiatru miejsce na nocny spoczynek, zwłaszcza w czasie, kiedy po odwilży nastanie raptem silny mróz i twarda skorupa uniemożliwia spędzenie nocy pod śniegiem.

3) Odciągać zwierzynę w czasie srogiej zimy od osiedli ludzkich, gdzie zziębnięta i osłabiona głodem znajduje, niestety, zamiast upragnionego schronienia i odrobiny pożywienia — zastawione sidła lub wnyki, albo pada ofiarą kotów.

4) Przyzwyczaić zwierzynę do miejsc, w których w zimie podawany bywa pokarm.

5) Stworzyć dogodne warunki dla zakładania gniazd i lęgów w miejscach dobrze ukrytych, gdzie nie grozi matce rodu ucięcie głowy przez kosę lub kosiarkę w czasie wczesnych zbiorów koniczyny czy siana.

6) Przyczynić się do podniesienia piękna krajobrazu.

Remizy, odpowiadające powyższym wymaganiom, a rozsiane mniej więcej równomiernie pośród pól, przyczynią się wydatnie do utrzymania i podniesienia stanu zwierzyny drobnej pod warunkiem, że w łowisku zorganizowana będzie należyta ochrona przed kłusownictwem i wnykarstwem, i że dokonywany będzie stale intensywny odstrzał drapieżników i szkodników.

Bez spełnienia powyższych warunków przyniosą remizy więcej szkody niż pożytku, gdyż w razie braku należytej ochrony łowiska ściągają do remiz wszyscy okoliczni kłusownicy i wnykarze, a lisy, jastrzębie, koty, psy, wrony i sroki oraz łasice, tchórze etc. też dobrze wiedzą, gdzie najłatwiej zdobyć łup.

Rozróżniamy remizy **czasowe i stałe.**

Remizy czasowe traktować należy jako doraźną namiastkę remiz stałych; założone sztucznie z drzew i krzewów potrzebują przynajmniej kilku lat, ażeby się odpowiednio rozróść i móc należycie spełniać swe zadanie.

Czasowe remizy są to po prostu niewielkie powierzchnie pól uprawnych (wielkości jednego do dwóch arów), obsadzone lub obsiane odpowiednimi roślinami, które pozostawione przez zimę na pniu stanowią schronienie dla zwierzyny, zwłaszcza dla kuropatw.

Sto takich jednoarowych lub 50 dwuarowych remizek zajmuje łącznie powierzchnię jednego hektara i zarząd gminy, bądź okręgowe Państwowe Nieruchomości Ziemskie, zazwyczaj chętnie godzą się na wydzierżawienie takich drobnych kawałków gruntu.

Remizy czasowe mogą być kilkuletnie albo jednoroczne, zależnie od tego czym je obsadzono, względnie obsiano.

Najlepsze wyniki dają dwuarowe powierzchnie (np. o wymiarach 10 × 20 m), obsadzone należycie topinamburem (Heliantus tuberosus), dajmy na to na zeszłorocznym kartoflisku (ażeby zaoszczędzić kosztów nawożenia). Bulwy wysadza się wiosną w więźbie co 40 cm, sadząc po jednej lub po dwie bulwy jak kartofle.

Jest to roślina trwała, odnawiająca się corocznie z pozostawionych w ziemi bulw, dorastająca nawet do 2-metrowej wysokości. Jeśli się przyjmie i rozrośnie, stanowi doskonałe zimowe schronienie dla zwierzyny gdyż pod połamanymi i przygniecionymi śniegiem łodygami tworzą się liczne korytarze dające zwierzynie dobrą ochronę przed wiatrem i przed drapieżnikami, zwłaszcza skrzydlatymi.

Karmę należy podawać zwierzynie w bliskości takich remiz, wówczas korzysta ona chętniej z przytułku w remizie.

Jeśli topinambur należycie się rozrośnie, to corocznie można w jesieni wyjąć nawet 3/4 części bulw, a mimo to remiza będzie miała dobre a czasem nawet za silne zwarcie. Wydobyte bulwy można zużyć na poletka dla zwierzyny płowej albo w celu założenia nowych, podobnych remiz czasowych.

Topinambur rośnie dobrze nawet na ziemiach lżejszych, naturalnie nie na szczerych piaskach, natomiast gleby świeże, piaszczyste, nadają się do jego uprawy, lecz sadzić należy po kartoflisku lub w ziemię, nawiezioną w jesieni obornikiem.

Na wiosnę należy stare łodygi wyciąć przy ziemi i usunąć, a już w maju zaczną róść nowe.

Drugą rośliną, nadającą się na remizy czasowe, jest kukurydza lub jej odmiana, zwana końskim zębem. Jest to jednak roślina jednoroczna i wymaga żyźniejszej gleby niż topinambur. Remiza z kukurydzy ma tę zaletę, że część łodyg wraz z pałkami zostaje w czasie zimy przywalona śniegiem, a zeschnięte łodygi przy nastąpieniu przez lisa czy psa, wydają chrzęst dość głośny, aby ostrzec zwierzynę, przed zbliżającym się wrogiem. Nadto pozostałe nad śniegiem zeschnięte liście powodują, przy lekkim nawet wietrze, głośny szum, co denerwuje czyhające drapieżniki i podobno odstręcza od polowania w takich miejscach.

To ostatnie twierdzenie nie wydaje mi się jednak logiczne, skoro liście trzciny w czasie zimy szumią również silnie, a lisy mimo to chętnie tam polują.

Ostatnim wreszcie rodzajem remiz czasowych są pozostawione na pniu kawałki łubinu a nawet dorodnego, wysokiego owsa, ba! nawet pszenicy, które również służyć mogą kuropatwom jako ochrona i zarazem żerowisko.

Skuteczność czasowych remiz starałem się zwiększać w ten sposób, że pośród pozostawionego na pniu zboża wtykałem w więźbie 1 × 1 m wycięte krzaki jałowca, wysokie na 50 — 60 cm. Na krzakach tych opierała się powalona śniegiem słoma, tworząc przy ziemi szersze i rozleglejsze korytarze i zaułki, a przy tym kłujące szpilki jałowca dawały pewną, choć małą ochronę przed drapieżnikami, zaś do jałowcowych „kulek" chętnie przychodziły kuropatwy i zjadały te owoce.

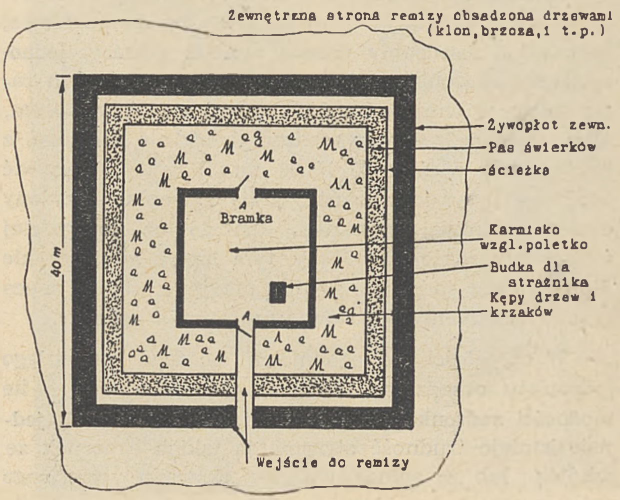
W razie braku jałowca można zwiększyć skuteczność takich remizek przez wtykanie zeschniętych sosenek czy świerków, a nawet gałęzi innych drzew.

Diezel w swym starym dziele wspomina o wypadku zakładania doraźnych remizek w czasie mrozów i głębokiego śniegu za pomocą układania na odgarniętych ze śniegu powierzchniach — wielkości kilku lub kilkunastu metrów kwadratowych — warstwy krzaków jałowcowych, co podobno przyczyniło się do uratowania znacznej ilości kuropatw.

Nie ma to wprawdzie wiele wspólnego z zakładaniem remiz, ale wspominam o tym sposobie, który może się przydać, jeśli nie pomyślano zawczasu o karmieniu kuropatw i nie ustawiono budek dla podsypywania ziarna.

* * *

Zakładając remizy stałe należy postępować planowo a wówczas i wyniki będą lepsze, i koszty mniejsze.



Przede wszystkim należy ustalić miejsca pod przyszłe remizy oraz ustalić wielkość każdej remizy. Po ustaleniu miejsca należy powierzchnię remizy ogrodzić od razu drutem kolczastym w 1 lub 2 rzędy, ażeby pasące się w jesieni w polu bydło nie zniszczyło posadzonych drzewek.

Na remizy stałe nadają się miejsca dobrze nasłonecznione, suche, o glebie w lokalnych warunkach najżyźniejszej. Stoki, nachylone ku zachodowi albo ku północy, jak również tereny podmokłe, nie nadają się.

Na założenie stałych remiz należy wykorzystać, o ile możności, nieużytki rolne w rodzaju dołów, pozostałych po wydobywanym kiedyś szutrze lub glinie czy żwirze, pozostałe wśród pól kawałki gruntu po wyciętym niedawno lesie itp. W pobliżu remizy nie mogą stać wysokie drzewa, gdyż są to zwykle punkty obserwacyjne jastrzębi.

Wielu myśliwych wyobraża sobie, że sztucznie założona remiza musi koniecznie mieć kształt kwadratu lub prostokątu. Jest to zupełnie niepotrzebne, a nawet w wielu wypadkach razi oko swą sztucznością, a niekiedy zeszpeca krajobraz, np. jeśli nagle obok szosy ujrzy się ukośnie do niej położony regu-

larny kwadrat podrostu sosnowego. Wprawdzie wewnątrz remizy zakłada się zwykle prostokątne powierzchnie, jednak nie wynika z tego, żeby zewnętrzne granice musiały posiadać taki sam regularny kształt.

Wielkość remizy nie odgrywa, jak już wspomniałem, zasadniczego znaczenia, o ile remiza nie służy równocześnie jako bażantarnia, gdyż wówczas musi być odpowiednio większa. Lepiej założyć więcej remiz mniejszych niż za mało dużych.

Dla przykładu podaję poniżej schemat urządzenia remizy stałej, założonej na terenie płaskim, o glebie żyznej, piaszczystej.

Do założenia remizy użyjemy sosny, świerka, jarzębiny, brzozy, tarniny, głogu czerwonego, jałowca, jeżyny (ostrężyny) oraz topinamburu a w razie możliwości — dzikiej róży (Rosa Canina).

Schematycznie przedstawiony plan remizy (patrz rysunek) przedstawia się jako kwadrat, lecz jest to tylko szkielet, bo zewnętrzna granica remizy może tworzyć dowolną figurę geometryczną, zależnie od najbliższego otoczenia.

Przede wszystkim wytyczamy na terenie kwadrat o boku 40 metrów długim, który na dwumetrowej szerokości obsadzamy wiosną, wzdłuż granicy, jednorocznymi sadzonkami świerku lub w ostatecznym razie sosny, w więźbie bardzo zwartej, np. 20 × 20 cm, albo, jeśli będziemy wysadzać dwuletnie sadzonki z grudą, to w więźbie 25 × 30 cm. Pas ten stanowić będzie w przyszłości bardzo gęsty żywopłot strzyżony o dwu metrowej wysokości, dlatego też im gęściej świerk czy sosnę posadzimy, tym lepiej, gdyż zwykle duży procent sadzonek się nie przyjmie; sadząc nieco gęściej unikniemy kosztów uzupełniania uprawy.

W odległości jednego metra od tego przyszłego żywopłotu obsadzamy następny pas świerkiem, o ile możności sadzonkami trzyletnimi, z grudą. Jeżeli jednak istnieje trudność otrzymania takich sadzonek ze szkółek lub ze samosiewu świerkowego, rosnącego przy samym brzegu lasu (a więc przyzwyczajonego do większego natężenia światła), to na razie świerka nie wprowadzamy, aż dopiero po 2 lub 3 latach pod osłoną powstałego podrostu. Ten drugi pas świerkowy ma spełniać również zadanie dekoracyjne i nie będzie strzyżony, gdyż służyć ma w przyszłości jednocześnie jako ciemne tło dla kęp drzew liściastych, rosnących na zewnątrz remizy.

Resztę powierzchni remizy obsadza się kępkami świerka, sosny, brzozy, jarzębiny itp. Kępki te powinny być małe, gęste (2 × 2 m — lub 2 × 3 m), lecz luźno rozrzucone po całej powierzchni, ażeby pomiędzy tymi kępkami drzew znajdowały się powierzchnie dobrze nasłonecznione, porośnięte koniecznie różnymi gatunkami traw oraz dobrymi kępkami jałowca, dzikiej róży, jeżyny, tarniny, maliny itp. krzewów.

W samym środku remizy znajduje się około 2 — 4-arowa powierzchnia, przeznaczona do karmienia zwierzyny w zimie, otoczona bardzo gęstym żywopłotem, założonym z głogu czerwonego, jeżyny, tarniny. Żywopłot ten powinien być tak gęsty i splątany, ażeby ani lis, ani pies nie mogły wcisnąć się do karmnika, anadto będzie on najbardziej wewnętrznym terenem ochronnym przed wiatrem i zadymką.

Na powierzchni karmnika ustawia się solidne daszki i budki do karmienia kuropatw oraz budę szczelną dla strażnika, który od czasu do czasu tu nocuje, pilnując remizy przed kłusownikami.

W lecie obsiewa się karmisko owsem, prosem, jęczmieniem lub hreczką, a w zimie należy odgarniać tu śnieg i podawać, oprócz ziarna sypanego pod domkami, również nieco buraków, liści kapusty, itp. zieleniny.

Uważam za wskazane podawać w jednych remizach pokarm tylko dla kuropatw czy bażantów, a w innych dla zajęcy, bo żerujące w nocy zające przerywają sen kuropatw i często powodują zerwanie się stadka w nocy.

Pewna ilość dobrze urządzonych remiz wpłynie poważnie na podniesienie stanu zwierzyny, lecz cudów nie należy oczekiwać. Są obszary bardzo duże, polne, często nawet o stepowym charakterze, gdzie drobnej zwierzyny jest dużo, a są też i takie, gdzie jest wiele naturalnych remiz i remizek a stan zwierzyny jest niski. Prawdopodobnie odgrywają tu rolę czynniki klimatyczne i atmosferyczne, ale na pewno też i poziom etyczny myśliwych oraz sumienność strażników łowieckich i miejscowej ludności.

W końcu chciałbym zanaczyć, że do obsadzenia remizy drzewami stosować najlepiej sadzenie młodych drzewek i krzewów z dużą grudą. Koszt jest wprawdzie znacznie większy, ale też i większa pewność przyjęcia się i remiza prędzej będzie mogła spełniać swe zadania. Przesadzając jałowiec należy zawsze oznaczyć na nim (nacięciem lub warnem i to przed wykopaniem) stronę południa, gdyż w tym samym położeniu do strony światła musi stać na nowym miejscu.

Naturalnie, że na glebach najlepszych stosować możemy do zakładania remiz jeszcze inne gatunki drzew i krzewów, jak np.: leszczyna, grab, bez czarny itp., lecz na zewnętrzny pas ochronny zawsze lepiej użyć świerka lub sosny, bo żywopłot z drzew szpilkowych, które i w zimie mają liście (szpilki), lepiej chroni od wiatrów i zadymki.

Podany plan remzy jest tylko schematem, każdy może włożyć w budowę remizy wiele własnego pomysłu, byle tylko zachowano warunki, jakim remiza ma odpowiadać, a które wymieniłem na wstępie.

Z pożytkiem będzie, jeśli zakładający remizę zwróci się o szczegółową poradę do doświadczonego leśnika i do fachowego ogrodnika.

Józef Ostrowski

LAS BEZ ZWIERZYNY JEST JAK KOBIETA BEZ WDZIĘKU

75-LECIE
PREZESA POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO, GENERAŁA DYWIZJI, PROFESORA, DOKTORA
BOLESŁAWA SZARECKIEGO

Blisko od roku żyje Polski Związek Łowiecki pod znakiem jubileuszów, począwszy od 25-lecia Polskiego Związku Łowieckiego, przez 50-lecie Łowca Polskiego, aż do brylantowych godów naszego Prezesa, generała Bolesława Szareckiego.

Generał Szarecki urodził się 17 marca 1874 roku w Mińsku, jako jedno z siedmiorga dzieci kolejarza. Z gimnazjum w Mińsku został usunięty z „wilczym biletem" za konflikt z nauczycielem historii. Wstąpił wówczas do Wojskowej Szkoły Felczerskiej w Charkowie, którą ukończył w 1892 r. z wynikiem celującym. W roku 1896 zdał maturę jako pracownik Szpitala Wojskowego w Charkowie, a w roku 1904 ukończył Wydział Lekarski Uniwersytetu w Charkowie „summa cum laude". Studia uniwersyteckie trwały dość długo, gdyż skutkiem czynnej pracy w akademickich organizacjach socjalistycznych, był relegowany i kilkakrotnie zapoznawał się z carskim więzieniem.

W czasie wojny japońskiej zajmował stanowisko lekarza pułkowego, a następnie na własną prośbę przeszedł do służby w Czerwonym Krzyżu. Od 1906 r. był adiunktem a następnie docentem chirurgii. W roku 1914 znalazł się znów w Czerwonym Krzyżu, pracując w czołówkach sanitarnych.

W 1919 roku wrócił do kraju, gdzie otrzymał kierownictwo naukowe chirurgicznych oddziałów Szpitala Ujazdowskiego. Ministerstwo Spraw Wojskowych powołało go do Rady Naukowej Departamentu Służby Zdrowia, a następnie objął stanowisko dyrektora Szpitala Ubezpieczalni Społecznej, później Głównego Szpitala Polskiego Czerwonego Krzyża.

Od roku 1926 współpracuje z Polskim Towarzystwem Łowieckim i Wojskowym Towarzystwem Łowieckim. W roku 1936, po reorganizacji Związku, wszedł jako członek Sądu Łowieckiego do władz naczelnych Polskiego Związku Łowieckiego.

Dnia 25 VII 1939 r., powołany na własną prośbę do wojska, objął szpital wojenny nr 104 w Siedlcach. We wrześniu 1939 r., pracując dwie doby bez przerwy podczas nalotów na punkcie opatrunkowym, był dwukrotnie ranny i niebawem znalazł się w Brześciu nad Bugiem w rękach Armii Czerwonej.

W r. 1941 został powołany na stanowisko szefa Służby Zdrowia w tworzącej się w ZSRR Armii Polskiej. Następnie bierze udział w kampanii w Afryce i Włoszech, wsławiając się szczególnie pod Monte Cassino.

Natychmiast po powrocie do Ojczyzny w 1945 r. zgłosił się do Wojska Polskiego, gdzie został zastępcą Szefa Służby Zdrowia Ministerstwa Obrony Narodowej, a 24 VI 1946 r. szefem tej odpowiedzialnej służby. W roku 1947 awansował na generała dywizji.

Prezesurę Polskiego Związku Łowieckiego przyjął dnia 16 VI 1946 r. i obowiązki te pełni do dnia dzisiejszego.

Generał Szarecki, dążąc do pełnego wyzyskania wartości łowieckich dla gospodarstwa narodowego, jak również doceniając znaczenie — opartego na społecznej pracy — handlu bronią i amunicją, przystąpił do grona założycieli „Jedności Łowieckiej". W spółdzielni tej jest dziś członkiem rady nadzorczej.



Dekoracja Prezesa Szareckiego

* * *

75-lecie urodzin Generała Szareckiego obchodzono niezmiernie uroczyście w ramach jego pracy zawodowej: wojskowej i lekarskiej. Dnia 17 marca 1949 r., w pięknym pałacu w Helenowie pod Warszawą, odbyła się akademia ku czci dostojnego Jubilata.

Marszałek Polski, Michał Żymierski, po dłuższym przemówieniu, charakteryzującym wielkie zasługi Generała Szareckiego, dekorował naszego Prezesa orderem Polonia Restituta II klasy z gwiazdą. Po dalszych przemówieniach, jak: Min. Zdrowia dra Michejdy, przedstawicieli nauki, wojska i innych, odbył się raut, w którym wzięło udział ponad 100 osób. W uroczystościach tych uczestniczyła również de-

legacja Polskiego Związku Łowieckiego, która złożyła Prezesowi Szareckiemu serdeczne życzenia w imieniu zrzeszonych polskich myśliwych.

Treść przemówień, wręczone dary, nastrój, jaki panował na sali, wykazały dobitnie, że generał Szarecki nie tylko w szeregach myśliwskich otaczany jest wielkim szacunkiem i głęboką miłością, ale również i w Wojsku i we wszystkich instytucjach, w których pracuje.

W ramach Polskiego Związku Łowieckiego, dla uczczenia tego jubileuszu, odbyła się w dniu 22 marca 1949 r. specjalna uroczystość, w której wzięli udział członkowie władz naczelnych Związku, Spółdzielni „Jedność Łowiecka" oraz pracownicy biura Polskiego Związku Łowieckiego.



Prezes Szarecki z kolegami z PZŁ

W imieniu Związku wręczono Prezesowi Szareckiemu rzeźbę, przedstawiającą dzika, osaczonego przez psy.

W miłym nastroju przy lampce wina uroczystość ta przeciągnęła się do późnego wieczoru.

* * *

Był dzień 20 listopada, deszczowy i śnieżysty, kiedy do ciasnego pokoiku przy ulicy Miedzianej, stanowiącego w roku 1945 cały lokal Polskiego Związku Łowieckiego, przybył na posiedzenie Komitetu Wykonawczego ówczesny nasz wiceprezes generał Nowodworski z drugim generałem, którego może nie wszyscy zebrani od razu poznali. Generałem tym był profesor, doktór Bolesław Szarecki.

Przewodnicząc wówczas Komitetowi miałem zaszczyt witać generała Szareckiego, świetnego i prawego myśliwego, starego działacza na niwie łowieckiej, który, po powrocie z tułaczki do Ojczyzny, zgłosił się nie tylko do twardej służby żołnierskiej, ale postanowił całą prawie resztę czasu poświęcić pracy dla polskiego łowiectwa.

W pół roku później generał Szarecki przyjął z rąk walnego zgromadzenia prezesurę Polskiego Związku Łowieckiego. Dziś po trzech latach pracy Związek nasz, dzięki światłemu i pełnemu oddania kierownictwu Prezesa Generała, szczyci się wielkimi osiągnięciami.

Przede wszystkim Związek rozrósł się do wielkiej organizacji, umasowił i zdemokratyzował swe szeregi, składające się dziś w lwiej części z ludzi pracy, wydał kilkanaście książek, periodyków, posiadł mocną i dobrze zorganizowaną sieć oddziałów terenowych.

Przeskok w osiągnięciach Polskiego Związku Łowieckiego od rozpisywania w roku 1945 pierwszych okólników przy świeczkach — do własnego pawilonu łowieckiego na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu czy do międzynarodowych zwycięstw w strzelectwie myśliwskim w roku 1948, czy wreszcie do opracowania projektu ustawy łowieckiej dla Ministerstwa Leśnictwa — jest olbrzymi.

Być może, że te osiągnięcia w skali Państwa nie są tak wielkie jak wydobycie węgla czy praca hut lub zakładów włókienniczych, ale w Polsce Ludowej nie ma miejsca na żadnym odcinku pracy czy gospodarki narodowej na rzeczy małe, wszystkie są wielkie, bo składają się na jedną wielką całość.

Na zakończenie pragnę podnieść, że naprawdę nie było posiedzenia Komitetu Wykonawczego, Rady Naczelnej czy Walnego Zgromadzenia, na którym by nasz Prezes nie był obecny. Nie było sprawy, którą by się nie interesował, zagadnień, których by nie chciał rozwiązać, troski, którą by się nie kłopotał.

W uznaniu wielkich zasług Generała Szareckiego, Kapituła Odznaczeń Polskiego Związku Łowieckiego odznaczyła Go w dniu 6 VI 1948 roku najwyższym odznaczeniem łowieckim — „Złomem".

Panie Generale! Polski Związek Łowiecki jest dumny, że pod kierownictwem Pana mógł dojść i doszedł do takich wyników, i jesteśmy szczęśliwi, że Pan Generał jest naszym Prezesem.

Zbigniew Kowalski



LEOPOLD PAC POMARNICKI

ZWIERZYNA BOGACTWEM GROMAD I GMIN

W ciągu kilku ostatnich lat rozrost Polskiego Związku Łowieckiego staje się coraz bardziej widoczny. Ilość zrzeszonych myśliwych zwiększa się z każdym rokiem, a co za tym idzie powstaje też wiele nowych stowarzyszeń i kółek myśliwskich, poszukujących do wydzierżawienia terenów polnych i leśnych, na których mogłyby prowadzić racjonalną gospodarkę łowiecką i jako ekwiwalent za nią — organizować dla swych członków polowania.

Obowiązująca dotąd polska ustawa łowiecka z roku 1927 nakłada na zarząd każdego kółka obowiązek dzierżawienia takiej powierzchni terenów łowieckich, by na członka kółka przypadało najmniej 100 ha obszaru. Przepis ten ma na celu stworzenie dużych obwodów łowieckich, w których już może być prowadzona właściwa hodowla i ochrona zwierzostanu bez obawy, że to, co kółko wyhoduje, padnie za miedzą od strzału kłusownika czy nieetycznego sąsiada — myśliwego. Z drugiej strony, przy dużym obszarze w czasie samego polowania, zwierzyna ma większe szanse uratowania się, poza tym kółko pozostawia część łowiska jako rezerwat lub tak zwany „matecznik“, czego na małej powierzchni zazwyczaj już się nie stosuje, opolowując rok rocznie całość terenu, co musi, rzecz oczywista, odbić się ujemnie na stanie zwierzyny.

Z powyższych względów każde dobre kółko myśliwskie stara się o wydzierżawienie obwodów polnych w graniczących ze sobą gromadach lub nawet całej gminy, a nie ubiega się o drobne kawałki, rozrzucone po powiecie, z których zazwyczaj mało ma korzyści, bo wtedy nie opłaca się wydatkować większych sum na hodowlę łowiecką czy wynajmowanie specjalnych strażników. Tereny te pozostają więc bez należytej opieki, a przez to samo nie bywa tam i zbyt wiele zwierzyny.

Biorąc pod uwagę zwiększającą się stale liczbę stowarzyszeń myśliwskich, musimy sobie jasno zdawać sprawę z tego, że i popyt na obwody łowieckie będzie równocześnie wzrastał, toteż gminy i gromady wiejskie mogą — drogą dzierżawy prawa polowania na swych terenach — zapewnić sobie nowe, pokaźne źródło dochodu. Jeszcze dziś bowiem ogromne obszary pól i lasów są pod tym względem zupełnie niewykorzystane, a nie wydzierżawione jakiemuś kółku myśliwskiemu — nie przynoszą gminom z tego tytułu żadnego dochodu.

Lecz żeby teren móc wydzierżawić, żeby znaleźć reflektanta, pragnącego zapłacić za prawo polowania taką czy inną sumę rocznie, trzeba w obwodzie swym mieć zwierzynę. Jest przecież rzeczą zupełnie zrozumiałą, że nikt nie będzie płacił większej sumy pieniędzy za łowisko polne, w którym prócz skowronków niczego więcej się nie widzi. Tym właśnie tłumaczyć należy fakt, że wiele obszarów położonych nawet w pobliżu miast a posiadających dużą ilość zrzeszonych myśliwych, obszarów z wygodnym dojazdem kolejowym czy autobusowym, po dziś dzień nie może znaleźć amatorów na dzierżawę. Przyczyna tego leży w tym, że zające czy kuropatwy są tam rzadkością, bo po polach włóczą się psy, prześladujące wszystko co rusza się i żyje, a każda miedza lub krzak tarniny zawiera po kilka pętel na zwierzynę.

Jak zaznaczyłem, zapotrzebowanie na obwody łowieckie jest duże i stale będzie wzrastało, ale tylko na obwody, posiadające dobry zwierzostan. Każda gmina czy gromada wiejska musi zrozumieć, że zwierzyna jest jej bogactwem i powinna usilnie starać się o to, by sylwetki pomykających zajęcy albo furkot porywających się kuropatw towarzyszyły krokom każdego gospodarza, uprawiającego swój zagon. Bowiem tylko na taki teren można łatwo znaleźć dzierżawcę — myśliwego, który za ten teren zapłaci wysoką tenutę dzierżawną. Gminy, które już to zrozumiały, osiągają za czynsze dzierżawne znaczne wpływy, z których powstają remizy strażackie, świetlice, urządzenia czy sprzęt pożarniczy. Ale tam sami gospodarze dbają o zwierzynę, troszczą się o to, aby było jej jak najwięcej, bo wiedzą, że dzięki tej setce kuropatw, przepiórek czy zajęcy na ich polach, gromada wiejska ma tak potrzebne dziś w gospodarce społecznej pieniądze, których z innych źródeł nie udało by się uzyskać.

A tuż obok, na terenie innej gminy, leżą tereny niewydzierżawione i ogołocone ze zwierzyny. Wieśniacy patrzą zazdrośnie na sąsiadów, którzy za pieniądze otrzymane od myśliwych kupili już radio do świetlicy i beczkowóz dla swej ochotniczej straży pożarnej. Im też by się przydały, ale cóż, nikt polowania nie chce wydzierżawić, a gmina gotówki innej nie ma. I jeden z drugim zaczyna przemyśliwać, co by tu zrobić, aby te zające jakoś rozmnożyć. Przecież tamta gmina z zagranicy ich nie sprowadziła, a jednak są i to sporo ich jest, bo w czasie polowania pada zawsze ponad sto szaraków.

A przecież to tak łatwo, by i na tym opustoszałym dziś terenie znowu znalazła się zwierzyna. Nie potrzeba do tego żadnych wkładów pieniężnych, nie potrzeba wysiłku, a wystarczy tylko trochę dobrej woli wszystkich gospodarzy i zrozumienia, że zwierzyna to ich wspólne bogactwo, którego nie wolno lekceważyć, a tym bardziej niszczyć przez własną nieświadomość lub co gorsza — wyrafinowaną złośliwość.

I gdyby gospodarze ci zastanowili się poważnie dlaczego na ich polach nie ma kuropatw oraz zajęcy — odpowiedź znaleźliby bardzo łatwo: dlatego, że u nich nikt o zwierzynę nie dba. Bo przecież wiadomo, że ten Jędrek Michałów codziennie łazi po terenie ze swym czarnym Kruczkiem i strzela do wszystkiego, co mu pod lufę wlezie. Jedno zabije, drugie pies złapie, a resztę wypłoszy, przegoni na inne tereny. A czy kto powiedział choć słowo chłopakowi? A ilu włościan nie wiąże wcale swych psów, które dniem i nocą wałęsają się po terenie, goniąc zające? Widzi to sołtys, widzą gospodarze i milczą, a przecież był nakaz ze starostwa i milicji, że psy muszą być stale na uwięzi. Nie lepsze są i koty. Mruczek Janowej — to już dwa miesiące jak nie był w chałupie, stale tylko poluje w polu na przepiórki i młode kuropatwy. Mało tego! Kowal tutejszy zaprosił w niedzielę paru znajomych, którzy przyjechali ze strzelbami i cały dzień polowali na gromadzkich gruntach, na-

wet chłopaków brali do naganki. A czy to ich teren, czy im wolno kłusować po cudzym polu, którego przecież nie dzierżawią ani za niego gromadzie nie płacą?

I znowu nie znalazł się nikt w całej wsi, kto by zwrócił na to uwagę i zabronił przybyszom strzelania zajęcy. Kiedy nadejdzie wiosna, chłopcy wioskowi wyruszają po jaja ptasie. Z samego tylko „Czarnego Ługu" przynieśli pół kopy jaj kaczych i potłukli je, bo już były zalężone, nieprzydatne na jajecznicę. Wprawdzie nauczyciel gniewał się o to bardzo i swego Witka nawet ukarał, lecz pięć gniazd zostało zniszczonych i kaczek w tym roku na Ługu już nie będzie.

Takie i tym podobne wypadki przyczyniają się do tego, że wielkie obszary naszej Ojczyzny są bardzo ubogie w zwierzynę, a co za tym idzie — nie są przez nikogo wydzierżawione i nie przynoszą korzyści ani gromadom wiejskim w postaci czynszu za prawo polowania, ani też społeczeństwu i krajowi w postaci dziczyzny, dostarczanej przez myśliwych na rynek wewnętrzny lub na eksport zagraniczny. Są to niejako nieużytki łowieckie, niewykorzystane od szeregu lat, a być może bezużyteczne jeszcze przez długi okres czasu i w przyszłości

Z punktu widzenia gospodarki ogólnopaństwowej stan taki jest karygodnym marnotrawstwem i nie może mieć miejsca w czasach, gdy planowość i najdalej posunięta oszczędność są przodującymi postulatami wszelkich poczynań naszego Rządu. Nie wolno marnować takiego bogactwa narodowego, jakim ostatnio stała się zwierzyna, nie wolno też lekceważyć dochodów gminnych z tytułu czynszów dzierżawnych na prawo polowania. Muszą to wreszcie zrozumieć wszyscy właściciele gruntów, na których zając i kuropatwa należą do rzadkości, i jasno zdać sobie sprawę z tego, że bez ich współudziału tereny nadal pozostaną „pustynią łowiecką".

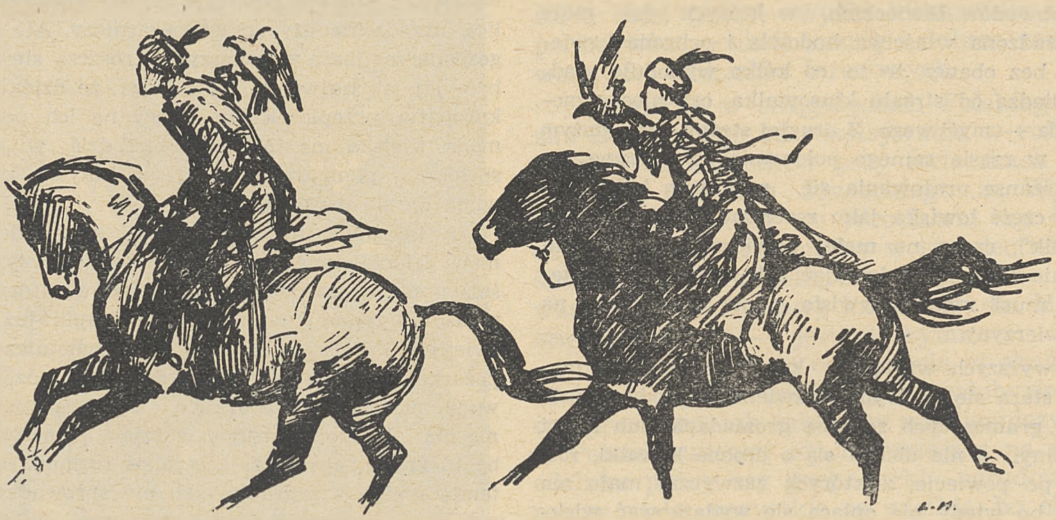
Każdy pies, włóczący się po polu, to strata przynajmniej 15 młodych zajączków w miesiącach wiosennych i letnich, każdy kot bobrujący w koniczynie czy seradeli — to mniej o jedno stado kuropatw w sezonie polowania, a wyprawa chłopaków na staw lub mokre łąki równa się doszczętnemu wytępieniu tam kaczek, bekasów i innego ptactwa łownego. Poważny, dbający o dobro publiczne sołtys lub wójt, powinien o tym pamiętać i dbać, by w jego gromadzie czy gminie wypadki takie nie miały miejsca.

I to nie tylko sołtys. Każdy nauczyciel i ksiądz proboszcz lub prefekt szkolny muszą zwracać uwagę na to przy nadarzającej się okazji w czasie lekcyj, rozmów oraz pogadanek. Muszą wykazywać bezsensowność i okrucieństwo takiego postępowania, krzewić ideę umiłowania i ochrony przyrody, tłumaczyć, że zając upolowany legalnie i sprzedany zagranicą dostarcza krajowi obcych walut, tzw. dewiz. Za dewizy nabywamy inne, potrzebne nam towary czy surowce, a więc trzeba dbać, by tych zajęcy było u nas jak najwięcej, a nie tępić ich przez lekkomyślne puszczanie psów czy zabijanie pałkami przez swawolnych chłopaków lub wyłapywanie we wnyki.

Utarł się też w niektórych okolicach zwyczaj urządzania tzw. „próbnych łowów", polegających na tym, że kółko myśliwskie, przed wydzierżawieniem obwodu łowieckiego, robi normalne polowanie w celu przekonania się o stanie zwierzyny na tym terenie. Sposób ten jest niewłaściwy z dwóch względów. Po pierwsze, obowiązująca ustawa łowiecka w rozdziale VI, artykuł 76, punkt 2, zabrania kategorycznie urządzania polowań na terenach, które nie są jeszcze zarejestrowane jako „obwody łowieckie", zatem nie może być mowy o polowaniu przed podpisaniem przez dzierżawców umowy łowieckiej i zarejestrowaniu terenów tych w starostwie, względnie u łowczego powiatowego, w zależności od tego, kto zajmuje się w danym powiecie taką rejestracją, bo sprawa ta nie jest jeszcze u nas jednolicie unormowana.

Ponadto system „próbnych polowań" bywa wykorzystany przez niektóre kółka o wątpliwej reputacji do uprawiania specjalnego rodzaju kłusownictwa. Kółko takie ubiega się niby o wydzierżawienie danego terenu łowieckiego i urządza próbne polowanie, po którym oświadcza gospodarzom, że teren ten nie nadaje się do wydzierżawienia, bo zwierzyny jest za mało. Jednak zabite zające myśliwi zabierają, nie płacąc gminie ani za zające, ani za opolowane grunty. W następną niedzielę to samo kółko „próbuje" już inny teren

Z tym systemem kłusownictwa należy walczyć zawsze i wszędzie. W pierwszym rzędzie same gromady wiejskie nie powinny wyrażać zgody na opolowywanie ich terenów przed spisaniem umowy dzier-



Polowanie z sokołami — *rys. L. Maciąg*

żawnej i opłaceniem należnego czynszu. O ile ktoś chce sprawdzić stan zwierzyny, może z powodzeniem dokonać tego bez użycia broni, Wystarczy, by naganka przepędziła kilka miotów, a z ilości ruszonych szaraków łatwo się zorientować, jaki jest zwierzostan w danym obwodzie. Strzelanie zajęcy nie jest w tym wypadku żadną koniecznością — można je policzyć bez zabijania.

Kiedy na gruntach włościańskich ustaną próbne polowania, kiedy nie będą po nich deptać zaproszeni przez sołtysa, kowala czy jakiegoś gospodarza goście, gdy psy wiejskie znajdą się na uwięzi, a włóczące się koty zostaną wystrzelane, kiedy wreszcie chłopcy, zamiast niszczenia jaj kuropatwich lub kaczych, zajmą się zbieraniem wnyków, zastawionych na zające po miedzach czy kępach tarniny — wtedy w łowiskach będą znowu setki zajęcy i dziesiątki stad kaczych, a gromady i gminy znajdą z łatwością reflektantów na dzierżawę polowania, którzy zapłacą wysokie nawet sumy.

I nabywając za te pieniądze ławki szkolne czy sprzęt pożarniczy, gminne rady narodowe będą mogły być dumne, że wykorzystując zwierzynę. jako swoje lokalne bogactwo, przysparzają całemu krajowi nowe, dość pokaźne źródła dochodu.

Leopold Pac Pomarnacki

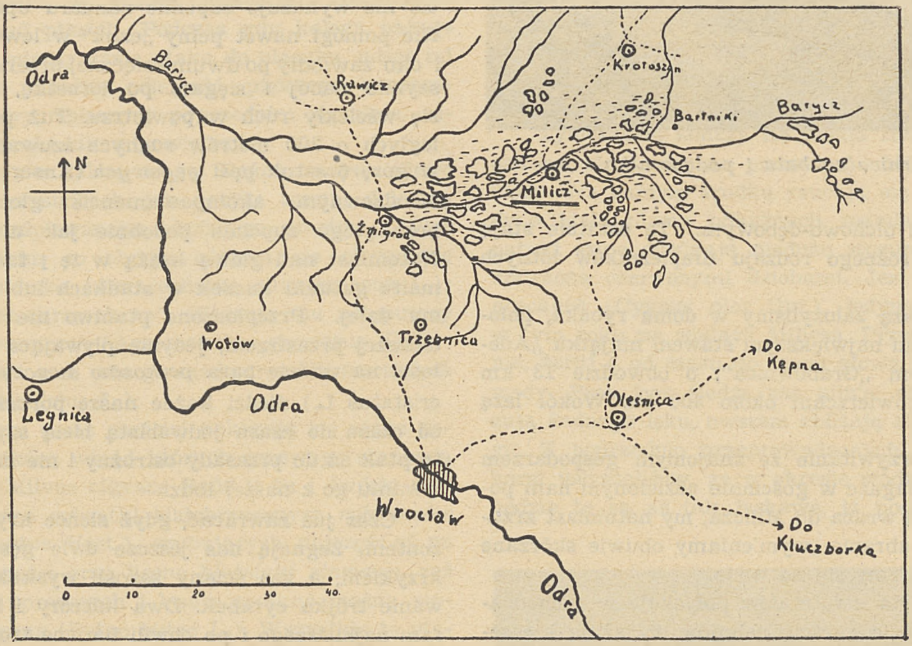
MARIAN BIELEWICZ

WIOSNA NAD BARYCZĄ

Projekt wiosennej wyprawy przyrodniczo-naukowej powstał wśród nas jesienią 1947 roku, kiedy to po raz drugi po wojnie zajechaliśmy do Milicza.

Jesteśmy przyrodnikami, a zarazem pracownikami tegoż działu Muzeum Śląskiego w Bytomiu. Piękne, przedwojenne zbiory przyrodnicze Muzeum Śląskiego, z ówczesną siedzibą w Katowicach, zostały przez Niemców zrabowane i przewiezione do Bytomia, a działania wojenne r. 1945 spowodowały duży stopień zniszczenia, małym zdumieniem stwierdzamy, że wiosna panuje tutaj w całej pełni, drzewa owocowe okryte są pełnym kwieciem, a również bzy przybierają wygląd olbrzymich bukietów. W tym czasie u nas, w centrum górnictwa i hutnictwa, zaledwie najwcześniejsze czereśnie i śliwy odważyły się rozchylić swe pierwsze kielichy kwiatowe.

Lecz pociąg unosi nas szybko poprzez nadodrzańską równię, by wczesnym popołudniem wyrzucić na



przede wszystkim wśród bogatych kolekcyj wypchanych ptaków i ssaków. Ze względu na to, że największe stosunkowo straty wynikły w grupie ptactwa wodno-błotnego, zadaniem naszym jest uzupełnić te luki przez odstrzał potrzebnych okazów, co łatwo już połączyć z obserwacjami nad rozmieszczeniem i biologią poszczególnych gatunków. A że jesteśmy „starymi" myśliwymi (chociaż młodzi wiekiem) i żyłka łowiecka u nas nigdy nie wygasa, tym łatwiej i chętniej znosimy trudy uciążliwej podróży.

Po ustaleniu się kapryśnej dotychczas pogody, dnia 20 kwietnia opuszczamy we dwójkę wczesnym rankiem Bytom. W południe znajdujemy się już we Wrocławiu, skąd mamy połączenie od razu w dalszą drogę. Z niemałej stacyjce z napisem: „Milicz". Znana jest nam ona już dobrze z poprzednich bytności, dlatego witamy ją z dużą dozą sentymentu i rozczulenia.

Bagaż lokujemy w poczekalni. Jest on niemały, gdyż poza przyborami, bronią i amunicją zabrać musimy również i żywność na przeciąg 5 dni pobytu, ponieważ mieszkać będziemy na prawdziwym odludziu, w oddaleniu 10 km od miasta.

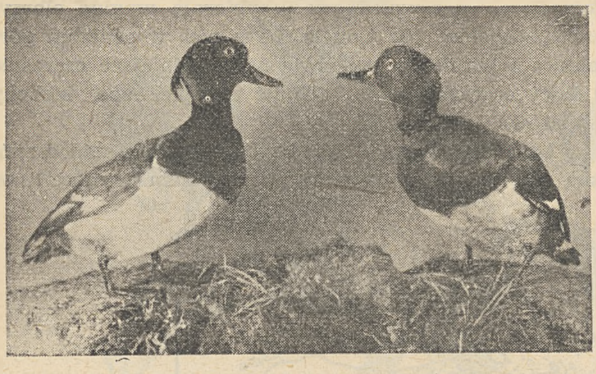
Dzięki uprzejmości dyrektora Gospodarstw Rybnych otrzymujemy do dyspozycji samochód, co wybawia nas z wielkiego kłopotu przebycia 10 km piaszczystego traktu, dzielącego miasto od przyszłej naszej bazy wypadowej. Tym sposobem wkrótce przebywamy statni etap nużącej podróży.

A teraz kilka słów o objekcie naszej wycieczki.

Około 50 km na północny wschód od Wrocławia, w dolinie rzeki Baryczy, rozciąga się potężny kompleks sztucznych jezior i stawów o łącznej powierzchni 7 tysięcy hektarów. Obszar ten, obejmujący średni bieg Baryczy, zajmuje przestrzeń 40 km w linii prostej i stanowi największy w Europie środkowej zespół gospodarstw rybnych.

Wprawdzie gospodarka jest tutaj planowa i olbrzymie stawy poprzegradzano sztucznymi groblami, lecz pierwotność krajobrazu została zachowana. Przyczynia się do tego w znacznym stopniu położenie poszczególnych stawów w obrębie starych lasów mieszanych, wśród których wiekowe dęby o sześciu metrach obwodu nie są wcale rzadkością. Stawy natomiast zarosłe są na znacznych przestrzeniach lasem nieprzebytych trzcin i szuwarów, o niespotykanej gdzie indziej wysokości.

W tych to miejscach znajduje ostoję wszelkie ptactwo w lecie, a stada dzików w zimie. Uroku dodają liczne wyspy o powierzchni od kilku do kilkunastu hektarów, otoczone zazwyczaj pasmem trzcin, a porosłe



Czernica czubata i podgorzałka

nierzadko lasem olchowo-dębowym. Te ostatnie stają się siedliskiem różnego rodzaju drapieżników lotnych i pływających.

Kwaterę naszą założyliśmy w domu rybaka, położonym uroczo nad największym stawem majątku „Adelin“, ochrzczonym „Grabownica“, o obwodzie 13 km i imponującej powierzchni około 400 ha. Wokół leżą stawy sąsiednie.

Serdeczne przywitanie ze znajomym gospodarzem i już lokujemy bagaże w gościnnie udzielonym nam pokoiku. Samochód wraca do Milicza, my natomiast zrzucamy podróżne ubrania ,wymieniamy obuwie skórzane na gumowe i rwiemy się na wodę.

Broń wydobyta z futerałów połyskuje w zachodzącym słońcu, a dwie garście nabojów obciążają kieszenie brezentowej wiatrówki. W przystani, położonej dwa kroki od naszej siedziby, czeka już na nas zacny gospodarz, odwiązując zgrabną „pychówkę“ od drewnianego progu. Wioślarz to jest znakomity i już sama jego obecność przy sterze łodzi dużą dać może satysfakcję.

„Do trzcin, na kaczora, panie Leonie“ potwierdzam głośno słuszne zapewne jego domysły, dodając, że ze względu na zapadający zmierzch nie pojedziemy dalej, jak do najbliższej wyspy, zasłoniętej zresztą ścianą kilkuletnich, zeschłych trzcin.

Tutaj właśnie kieruje się nasza łódź, popychana za pomocą lekkiego drążka sprawną ręką Leona. W międzyczasie wyjaśnia on, że łabędzie, gnieżdżące się tutaj od wielu lat, powróciły i w tym roku, lecz przepłoszone przez nieznanych bliżej umundurowanych myśliwych, pozostały ich tylko dwie sztuki na stawie „Bolek“. Natomiast gęsi jest dużo, a niektóre z nich siedzą już na jajach.

Lecz czas już skończyć rozmowę, gdyż dobijamy do pierwszych zarośli i tajemniczymi ścieżkami wodnymi wkradamy się na zaklęte jeziorka. Naładowana broń zatrzaskuje się z miłym dla ucha dźwiękiem, a równocześnie z boku porywa się stadko śmigłych *cyranek* (Anas querquedula L.), których samce w obecnej szacie godowej łatwo jest poznać po pasiastych głowach i popielato-niebieskawych skrzydłach. Odprowadzam je wzrokiem, uzbrojonym w lornetkę, gdy w tejże chwili z wielkim hałasem i przeraźliwym „kwa-kwa-kwa“ podnoszą się za naszymi plecami dwa ociężałe *kaczory-krzyżówki* (Anas platyrhynchos L.). Pięknie zielone głowy, z białą przepaską na szyi, wyciągają się zgodnie w górę, a duże skrzydła uderzają z przestrachem powietrze. Na strzał jednak odległość zbyt wielka.

Posuwamy się dalej obok wysokiej ściany trzcin, zachowując możliwie najgłębszą ciszę, gdyż okazuje się, że kaczki są ostrożne. Pomimo tego 50 m dalej znów zakotłowało się w trzcinach i stado ociężałych kaczorów-krzyżówek w ilości 5 sztuk podrywa się w górę. Trochę daleko, lecz decyzja zapada. Broń przy twarzy i kaczor przodownik już jest na muszce. Donośny huk wybuchu przerywa zalegającą dotychczas ciszę, by powrócić po chwili wielokrotnym echem. Stado kaczorów rozbiło się na wszystkie strony, a wzięty na cel nie wykazuje zupełnie zamiaru upadku na wodę. Nie pomógł nawet pełny „czok“ w lewce, a może dłoń i oko zawiodły po dwumiesięcznej przerwie?! Zmieniam szybko nabój i sięgam po lornetkę, gdyż rozpoczął się wściekły ruch w powietrzu. Tuż po strzale, z odległych o 200 metrów suchych szuwarów, uniosło się w górę 6 sztuk *gęsi gęgawych* (Anser anser L.), przy nieodzownym akompaniamencie głośnego gęgania, brzmiącego zupełnie podobnie jak u gęsi domowej. Natomiast nad głową krążą w tę i tamtą stronę rozmaite gatunki kaczek w stadkach lub parami. Jedziemy dalej. Przepłoszone ptactwo nie ukazuje się na dłuższej przestrzeni, jedynie pływająca w dużej odległości na wodzie para *perkozów dwuczubych* (Podiceps cristatus L.) śledzi każde nasze poruszenie, błyskając od czasu do czasu jedwabistą bielą szyi i piersi. Jest to ptak aż do przesady ostrożny i nie ma mowy o upolowaniu go z naszej łodzi.

Czas już zawracać, gdyż słońce kryje się za horyzontem. Żegnają nas jeszcze dwie gęsi przeraźliwym krzykiem, a zza ściany zarośli wyskakuje niespodziewanie trójka cyranek. Dwa kaczory i kaczka. Wybieram najbliższego i po chwili barwne trofeum spoczywa w łodzi.

Przy blasku księżyca dobijamy do domowych pieleszy, postanawiając wyruszyć dnia następnego możliwie wcześnie rano na dalsze łowy.

*

Słońce odbyło już znaczną część swej codziennej drogi, gdy ocknąłem się z kamiennego snu. Zmęczony podróżą i dużą ilością wrażeń dnia poprzedniego, zasnąłem zbyt twardo. Ale nie ma czasu do stracenia, budzę towarzysza spod ciepłej pierzyny i ubieramy się szybko. Mamy dziś w projekcie daleką drogę do przebycia i nie ulega wątpliwości, że nieprędko powrócimy na śniadanie.

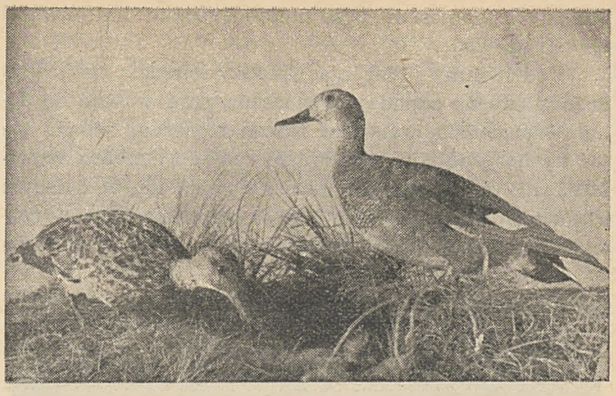
Wczesny ranek to przede wszystkim pora najintensywniejszego żerowania lotnych drapieżników. Wygłodniałe przez noc żołądki muszą być jak najszybciej napełnione i w tym właśnie czasie ptak zatraca częściowo wrodzoną ostrożność, dając myśliwemu możliwość dojścia do strzału.

Przekonałem się o tym wkrótce. Na skrzyżowaniu dwu szerokich grobli, porosłych wiekowymi dębami, zatrzymaliśmy się na chwilę, by ustalić dalszą trasę wycieczki. W tym momencie wielki cień przesunął się obok, a na niedużej wysokości przeszybował pokaźny ptak o typowej sylwetce drapieżcy. Instynktownie zamieniliśmy się w dwa nieruchome słupy, śledząc wzrokiem każdy ruch drapieżnika, który przeleciał ponad trzcinami dalej, na wysokości kilkunastu metrów i zdawało się, że wkrótce zniknie z pola widzenia. Lecz nagle, jak gdyby sobie coś przypomniał, nawraca i z głową pochyloną w dół leci wprost na mnie. W odległości 50 kroków zawisa nieruchomo w powietrzu i jak spadochron opuszcza się na podmokłą łączkę. Składam się szybko i w chwili, gdy ptak nogami dotyka najwyższych traw, strzelam z lewki, pamiętając, że w prawce mam tylko śrut 2 mm na drobne ptactwo. Trafiony ptak podrywa się gwałtownie w górę, lecz od razu opada ze złamanym skrzydłem. Towarzysz w gumiakach skacze przez bagniste zarośla i przynosi postrzelonego ptaka. Jest to duży drapieżnik, ubarwiony brązowo z czarnymi końcami skrzydeł pod spodem. Określamy go, jako starego samca *błotniaka stawowego* (Circus aeruginosus L.), będącego postrachem ptactwa wodnego, a przede wszystkim rozbójnika wszelkich gniazd ptasich. Podczas gdy kolega pakuje uduszonego w międzyczasie ptaka do plecaka, udaje mi się strącić na pokaźną odległość pięknego kaczora-krzyżówkę, który, spłoszony poprzednim strzałem, zataczał obok szeroki łuk w powietrzu.

Udajemy się w dalszą drogę. Słońce zaczyna silniej przypiekać, a z suchych jak patyki trzcin, dolatują liczne głosy rozśpiewanego drobnego ptactwa. Więc przede wszystkim co chwila odzywa się chrapliwie *trzciniak drozdówka* (Acrocephalus aurudinaceus L.): „karre-karre-kit-chrap-chrap". Wtóruje mu ustępujący wielkością *trzcinniczek* (Acrocephalus streperus Vieill): „tiri-tiri-cer-cer" oraz cała gromada *trznadli trzcinnych* (Emberiza schoeniclus L.).

W powietrzu coraz częściej pokazują się różne gatunki drapieżników, wśród których przewagę stanowią *kanie czarne* (Milvus nigrans Bodd.); tu i ówdzie rozróżniamy potężne sylwetki białobrzusznych *rybołowów* (Pandion haliaëtus Hort.), szybujących najczęściej na znacznej wysokości oraz liczne *błotniaki stawowe*, zaś w pobliżu pól uprawnych i lasów spotkać można *myszołowy zwyczajne* (Buteo buteo L.). Wszystkie te ptaki są jednak zbyt ostrożne, aby zaryzykować zbliżenie się do uzbrojonych ludzi.

Jesteśmy w pobliżu dużego stawu, ochrzczonego nazwą „Bolek". Tutaj obrała swą siedzibę jedyna para łabędzi, którą podążamy zobaczyć. Strzelać w pobliżu nie wolno, aby nie wypłoszyć tych królewskich ptaków, wobec czego zawieszamy rozładowaną broń na pasie. Kaczki zdaje się także zrozumiały, że czuć się mogą tutaj bezpiecznie, gdyż obserwujemy całe ich chmary, zarówno na pełnej wodzie, jak też przy zarosłych brzegach. Gatunki różne: w pokaźnych stadkach żerują płoche *czernice czubate* (Nyroca fuligula L.), których samce błyskają z dala bielą podbrzusza, odcinającą się kontrastowo od aksamitnej czerni reszty ciała. Czernic, w podobnej ilości jak tutaj, nie spotkałem jeszcze nigdzie w kraju, w Miliczu zaś gatunek ten należy do pospolitszych. Jeszcze częściej trafia się *głowienka kasztanowata* (Aythya ferina L.), łatwa do poznania po jasnopopielatych skrzydłach i pięknie rudej głowie. Gatunek ten spotykamy zresztą licznie na przelotach w reszcie kraju, tutaj zatrzymuje się gromadnie na czas lęgowy. Głowienka odznacza się krótką a grubą szyją i baryłkowatym kształtem całego korpusu. Stosunkowo mało bojaźliwa, trzyma się parami w przybrzeżnych zaroślach, co jest oznaką, że zamierza tutaj wkrótce założyć własną rodzinę.



Kaczka krakwa

Od czasu do czasu przelatują nad stawem chyże *podgorzałki* (Nyroca nyroca L.), migające w locie białymi lusterkami skrzydeł na tle ciemnych lotek. Znacznie rzadziej od poprzednich występują tutaj niezwykle oryginalne ptaki wodne, zbliżone do rodzaju tarczy, a znane pod nazwą *szlacharka bielaczka* (Mergellus albellus L.) o przewadze białej barwy upierzenia.

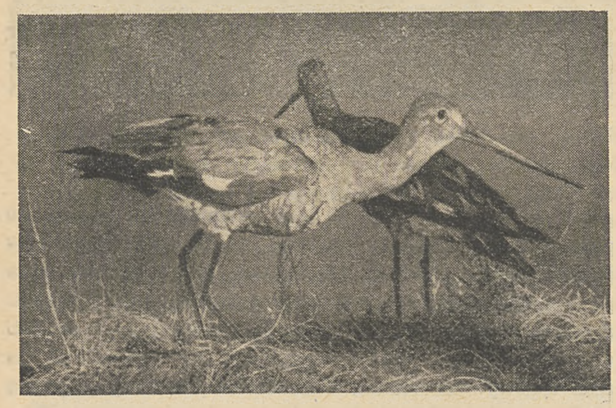
Tymczasem kończy się partia trzcin i przed nami otwiera się obszerna przestrzeń niezarosłego lustra wody. Na samym środku rzucają się od razu w oczy dwie białe plamy pokaźnych rozmiarów: proste jak patyki szyje dźwigają nieduże stosunkowo głowy, zakończone czerwonymi dziobami. Jest to para *łabędzi głuchych* (Cygnus olor Gm.), jedyna, jaka pozostała w tym roku na wodach Milicza. Pływają majestatycznie, żeruj c od czasu do czasu głową pod powierzchnią wody. Przy tym śledzą nas pilnie, chociaż nie wykazują żadnego lęku, owszem zbliżają się nawet do brzegu. Z poprzednio przeprowadzonych rozmów z rybakami usłyszeliśmy, że w okresie wodzenia młodych łabędzie te są aż tak łaskawe, iż podpływają do nad-



Gniazdo łabędzia głuchego

brzeżnych domostw, przyjmując rzucane im kawałki chleba na wodę.

Podziwiamy przez czas dłuższy łabędzią parę, lecz ze względu na zapadający wieczór, pora wracać do domu. Wprawdzie czerwona tarcza słoneczna skryła się już za horyzontem, lecz śmigłe *czajki* (Vanellus vanellus L.), w zawrotnym locie nawołują się w dalszym ciągu piskliwym głosem. Z głębi zarosłych stawów rozlega się basowe „ump-prumb" *czapli-bąka* (Botaurus



Szlamik rycyk

stellaris L.), na które wkrótce nadchodzi podobna odpowiedź ze stawu sąsiedniego. Nad głowami przelatują na znacznej wysokości trzy *czaple siwe* (Ardea cinerea L.) o wielkich jak płachty skrzydłach i ślizgowym lotem zapadają na przybrzeżne błota. Z czerniejącego obok lasu dochodzi przeraźliwy chichot puszczyka: „huhu-hu-ku-wik-ku-wik". Robi się teraz zupełnie ciemno, wobec czego przyśpieszamy kroku i po półgodzinnym marszu spostrzegamy wreszcie połyskujące światło w domu rybaka; zmęczeni i syci wrażeń jesteśmy wkrótce u celu.

*

Następny dzień zaczyna się pomyślnie od samego ranka. Chytry kolega z brzaskiem dnia wstaje cichaczem, a gdy w godzinę później przecieram zaspane oczy, przynosi na „dzień dobry" piękny okaz *perkoza dwuczubego* (Podiceps cristatus L.) oraz *kaczora-głowienkę* (Aythya ferina L.) w barwnej szacie godowej. Ustrzelić perkoza to rzecz wcale nie tak łatwa. Cały koncept polega na tym, by podejść go niepostrzeżenie, i by strzał padł wcześniej, zanim myśliwego wyśledzi..

Po prowizorycznym zabezpieczeniu wszystkich ustrzelonych okazów przy pomocy waty, napojonej alkoholem, którą zatyka się dziób, nożdża i odbyt ptaka, wyruszamy na całodzienną wyprawę.

Droga prowadzi ciągle szerokimi groblami, a celem naszym jest dotarcie do najdalszego stawu tego kompleksu, zwanego „Andrzejem".

Słońce przygrzewa już mocno. W powietrzu szybują ustawicznie duże ptaki drapieżne, których gatunki trudno z dala określić. Być może, że znajdzie się pośród nich również *orzeł bielik* (Haliaetus albicilla L.), którego obserwowano tutaj kilkakrotnie w ciągu ubiegłego roku.. Z przybrzeżnych szuwarów porywa się co jakiś czas para małżeńska krzyżówek, przestraszona naszymi krokami, a w pewnym miejscu widocznie odbywał się wiec „słomianych wdowców", gdyż aż 6 dorodnych kaczorów wyskakuje z trzcin. Strzał z przyrzutu strąca ostatniego z ich szeregu, a zarazem przelatującego najbliżej brzegu. Pomimo tego trzeba zażyć niezbyt ciepłej kąpieli w kwietniowej wodzie, by wydostać zdobycz, gdyż nie ma łodzi w pobliżu; szczęśliwym trafem słońce, palące pełnym blaskiem, osusza wkrótce mokre ciało. Kilkaset metrów dalej obserwuję przez szkła stado dzikich gęsi, żerujące na mieliźnie, zarosłej turzycą. Nic nie pomaga zachowana przez nas ostrożność. Czujne ptaki spostrzegają ludzi na brzegu, nawet na tak znaczną odległość, pomimo osłaniających wiklin i nie ma mowy, by zająć lepszy punkt obserwacyjny. Wkrótce też odlatują z donośnym gęganiem.

Próbuję teraz podchodzić stado malutkich kaczek, żerujących pod samym brzegiem wyniosłej grobli. Rosnące tutaj zwarcie potężne dęby ułatwiają skradanie się. Pozostaje do przebycia jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy spłoszone niewiadomo czym zrywają się i odlatują w popłochu. Lecz znacznie bliżej, niespodziewanie odrywa się od brzegu kaczor-samotnik z rudą plamą na głowie. Trudny wśród gęstych drzew, lecz celny strzał strąca go na taflę spokojnej wody. Doskakuję do brzegu, opierając się o pień grubego dębu, gdy prawie równocześnie dolatuje mię głos kolegi: „góra! góra!" Podrywam w tym kierunku głowę i... o Święty Hubercie! Tuż nad najwyższymi konarami sąsiednich dębów olbrzymi drapieżnik przysłonił słońce. Szeroko rozpięte skrzydła, głowa skierowana w dół, podbrzusze jedwabistobiałe. To *rybołów* (Pandion haliaetus L.). Podrywam strzelbę do twarzy, lecz przeszkadzają grube konary drzew. W tej chwili ptak wykonuje gwałtowny zwrot w powietrzu, spostrzegłszy ubitą na wodzie kaczkę, a równocześnie zniża lot jeszcze bardziej. Wprawdzie dzieli nas odległość 50 m, a w lufie mam jedynie śrut 3 mm, lecz pochwyciwszy go przez moment na muszkę, pociągam za spust. Wraz z hukiem wystrzału ptak robi błyskawiczny zwrot, lecz prawe skrzydło zwisło bezwładnie i drapieżnik, wyczyniając dziwne akrobacje w powietrzu, wali się ciężko na wodę. Odkładam broń, a stwierdziwszy, że nie ma innej rady, rozbieram się i zażywam po raz drugi dzisiaj chłodnej kąpieli. Po przebrnięciu 45 kroków od brzegu znajduję rannego ptaka, który próbuje daremnie ucieczki, lecz nie umiejąc pływać przyjmuje od razu obronną pozycję, wystawiwszy hakowato pazury w górę, kładąc się przy tym grzbietem na wodzie. Jasnożółtymi, przenikliwymi oczyma wodzi za każdym ruchem mej ręki, odpierając jej ataki potężnym dziobem. Sytuacja niełatwa, a i woda jest zimna. W końcu udaje mi się pochwycić za koniec zdrowego skrzydła i trochę niosąc, trochę ciągnąc, przyholowuję go do brzegu. Trzeba skoczyć jeszcze po unoszącą się na wodzie kaczkę, w której łatwo poznaję *cyraneczkę* (Anas crecca L.). Przyjmuję gratulacje kolegi z okazji niezwykłego dubletu, który bądź co bądź był zupełnie niespodziewany. Rybołowa, wykazującego jedynie złamane skrzydło, trzeba było udusić przez nacisk klatki piersiowej i to przy zachowaniu największych ostrożności, by nie być uchwyconym ostrymi jak igły szponami, zaciskającymi się w śmiertelnym skurczu. Rozłożone skrzydła sięgają około 1½ metra rozpiętości, a ciężar ptaka oceniamy na 4 kg. Humory poprawiają się pomimo tego, że zdajemy sobie sprawę, iż ubicie w ten sposób rybołowa było jedynie przypadkiem, a zwabiła go tak blisko prawdopodobnie ustrzelona poprzednio kaczka, jakkolwiek głównym jego pożywieniem są ryby.

Tegoż dnia wieczorem postanawiam zasiąść w upatrzonej z góry zasadzce, w oczekiwaniu na kaczki czernice, zasadzce, mieszczącej się u podnóża starej, głowiastej wierzby, wyrosłej nad brzegiem czystej tafli wody, gdzie najczęściej obserwowałem liczne stada tego gatunku. Wraz z zapadającym mrokiem jestem na miejscu i sadowię się wygodnie pod drzewem, którego pień przysłania wychylającą się spoza chmur okrągłą tarczę księżyca. Kaczki ciągną parami oraz w większych stadkach w kierunkach najróżnorodniejszych i nareszcie kilka sztuk opada w pobliżu na wodę. Odległość co najmniej 80 m. Już na ten dystans odróżniam wyraźnie bielące się na wodzie brzuchy 3 kaczorów-czernic, podczas gdy pozostałe w postaci ciemnych sylwetek są napewno samicami tego gatunku. Po chwilowym niezdecydowaniu, całe stadko zaczyna poruszać się w mym kierunku, a do uszu dobiega wyraźne wabienie się poszczególnych sztuk. Wtem cichy szelest z tyłu zwraca moją uwagę. Ostrożnie odwracam głowę i spostrzegam na zalanej blaskiem księżyca grobli dwa ruchliwe, acz niewielkie cienie, posuwające się wprost ku mej kryjówce. Równocześnie jeden z nich, wyprężając cienką szyjkę, usiłuje tokować, powtarzając jak gdyby szereg razy dwugłoskę: „ti-kut, ti-kut". Są to *kszyki* (Capella galinago L.), zajęte tak dalece sobą, że nie przeczuwając obecności człowieka, przebiegają tuż koło mych nóg. Jest to właśnie ich pora godowa, a samczyk, nacierając ustawicznie na samiczkę, wydaje ów charakterystyczny pisk.

Tymczasem kaczki podpłynęły na odległość strzału. Rażąca biel kaczorów na tle panującego zmroku ułatwia ich odróżnienie, lecz równocześnie jest już na tyle ciemno, że pomimo wytężania wzroku trudno określić dokładnie położenie muszki na niewyraźnym końcu broni, wobec czego w tych warunkach strzał nie może być zupełnie pewny. Pomimo tego czekam na moment oderwania się kaczora od stada i pociągam za spust. Przeraźliwy huk, spotęgowany wielokrotnym echem, przerwał panującą dotychczas ciszę, a wzburzona woda trysnęła fontanną kropel, lecz niestety, o kilka metrów za blisko, co oznacza strzał zdołowany.

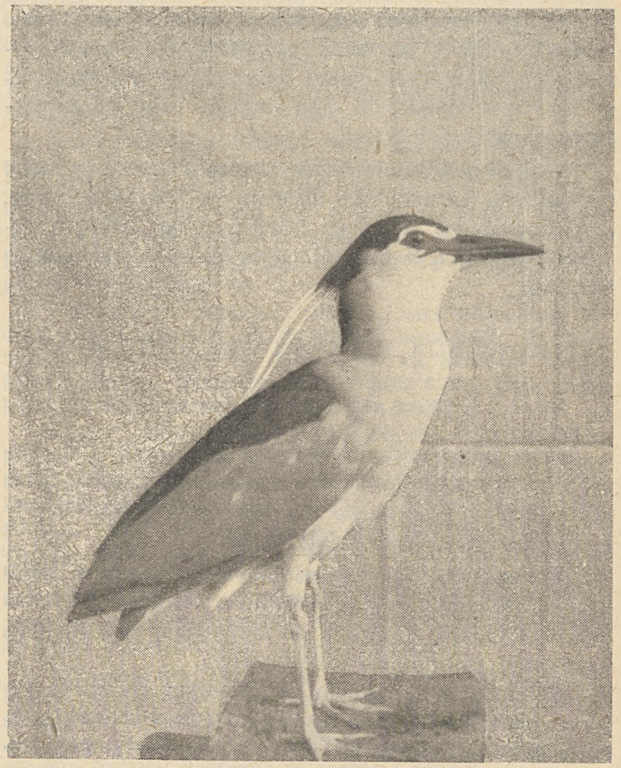
*

W sobotę rano budzę się wcześnie. Zamiarem moim jest udać się na poranną zasiadkę i przy pomocy łodzi dotrzeć na podmokłą wysepkę stawu „Golicy".

Zanim pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły pióropusze zeszłorocznych trzcin, uwagę moją przykuwa pokaźne stado białych ptaków, nadlatujące z nad środka wielkiego stawu. Ponieważ dochodzi stamtąd równocześnie gwar piskliwy *mew* (Larus laribundus L.), sądzę, że to one przelatują nad wodą. W kilka sekund później stwierdzam, że całe stado ciągnie wprost na mą wysepkę i że są to jakieś dziwne białoszare mewy o niespotykanym dotychczas profilu skrzydeł. Przykładam broń do policzka, śledząc lecące na mnie stado. Kierunek jego w dalszym ciągu wprost na mą zasłonę, więc serce uderza mocniej w oczekiwaniu łatwej, a nieznanej zdobyczy. Wtem pryska złudna nadzieja. Na niedostrzegalny sygnał zmieniają w pewnej chwili wszystkie ptaki kierunek o 45 stopni, skręcając w prawo na ukos. Chwila namysłu i ocena możliwości: w prawce mam śrut 2 mm, w lewce 3 i ½ mm, odległość co najmniej 120 kroków i za moment zacznie się zwiększać. Szanse są znikome, lecz w powietrzu unosi się gatunek nawet dla ornitologa nieznany. Muszka dubeltówki, prowadzona na 3 do 4 m przed czołem stada, zatrzymuje się na ułamek sekundy, a palec naciska drugi z kolei języczek spustowy. Gwałtowny wybuch bezdymnego ładunku targnął poranną ciszą. Stado ciągnie dalej z niezmniejszoną szybkością, lecz o dziwo... z jego środka odpada pojedyńczy ptak i z rozłożonymi wszerz skrzydłami opada na kształt spadochronu pionowo ku ziemi. Dziesięć minut denerwującego wiosłowania wymaga opłynięcie otaczających szuwarów i wreszcie jestem na gładkim kanale. Już z dala widnieje biała plama tuż nad samym brzegiem sąsiedniej wyspy. Ciekawość wzrasta do zenitu i dopiero z odległości najbliższych metrów rozpoznaję przypadkową zdobycz. Nie mewa to, lecz naprawdę rzadki u nas *ślepowron* (Nyct corax nycticorax L.). Siwopopielate skrzydła czynią z dala wrażenie białych, a niewidoczny z dołu grzbiet jest koloru zielonostalowego. Natomiast podbrzusze ma piękny odcień kremowy, na głowie zaś zwisa długi biały czub z trzech piórek złożony. Mała ranka wskazuje, iż trafił go jeden, jedyny śrucik w okolicę oka. Podziwiam ptaka o wielkości bąka, a zarazem bliskiego mu krewniaka, a równocześnie kolosalną odległość strzału. Przelatujące w stadzie, w ilości okło 30 sztuk ślepowrony, dążyły na pewno w kierunku Węgier i Rumunii, gdzie są ich miejsca lęgowe i tylko przypadkowe spotkanie tego przelotnego u nas ptaka, o typowo nocnym trybie życia, przyniosło w darze cenne trofeum.

Batalionów dnia tego nie spotkałem, natomiast z poprzedniej zasadzki ustrzeliłem dwa okazy błotnego ptaka, znanego pod nazwą *szlamik rycyk* (Limosa limosa L.). Charakteryzuje go piskliwe zawodzenie w powietrzu, szybki i wytrwały lot oraz duża ostrożność.

Ostatni dzień pobytu w Miliczu przynosi dalszą cenną zdobycz. Ze stada kaczek, żerujących na rozle-



Ślepowron

wiskach rzeki Baryczy, udaje się koledze ustrzelić *kaczora-podgorzałkę* (Nyroca nyroca G.), spłoszone zaś strzałem stado ciągnie w moją stronę i z dala już rozpoznaję, że składa się ono z różnych gatunków. Dowódcą nadlatującego stada jest pokaźny kaczor o dziwacznym upierzeniu. Wstrzymuję oddech i z zupełnym opanowaniem strzelam przed dziobem. Ptak robi pięknego kozła w powietrzu i za chwilę leży nieruchomo na wodzie. Wejście w nią po pas, to igraszka. Łuseczkowato pręgowana głowa, szyja i pierś odcinają się wyraźnie od białego podbrzusza. Najciekawszą jest jednak czerwonoruda plama pokryw skrzydłowych i białoczarne lusterko. Trzymam więc w ręku kaczora *krakwę* (Anas strepera T.), należącą do rzadkiego u nas i nielicznie gnieżdżącego się gatunku. Wielkością niewiele ustępuje krzyżówce, chociaż posiada mniejszą nieco głowę, zaś ubarwienie, jakkolwiek odmienne, niemniej jest piękne.

Ornitologiczną osobliwością tutejszych terenów jest bezsprzecznie *czarny bocian* (Ciconia nigra L.), którego spotykamy niejednokrotnie w czasie codziennych wycieczek. W Miliczu ptak ten nie jest zbyt rzadki, o czym świadczy pokaźna liczba 6 sztuk, obserwowanych pewnego dnia w czasie żerowania na łące.

Zbliża się dla mnie wyznaczony z góry termin pobytu na milickich stawach. Powrót staje się konieczny również ze względu na możliwość psucia się cennych okazów, zdobytych niejednokrotnie z dużym trudem i niemniejszym szczęściem, jak też z powodu wyczerpującej się amunicji. Z żalem rozstajemy się z uroczą okolicą, pełną pierwotnego czaru przyrodą, i skrzydlatą fauną. Postanawiamy wrócić tutaj ponownie jesienią, kiedy pojawiają się w powrotnej podróży. Niewątpliwie bowiem milickie zgrupowanie tak znacznych przestrzeni wodnych jest stacją postojową dla całego szeregu ptactwa wodnego w jego corocznych wędrówkach na północ w okresie wiosny i w przeciwnym kierunku — jesienią. Tutaj właśnie może być w przyszłości poczyniony szereg ciekawych spostrzeżeń i na pewno wiele wiążących się z tym zagadnień stoi przed ornitologiem.

Marian Bielewicz

TOMASZ ZAN (senior)

ORGANIZACJA ZBIOROWYCH POLOWAŃ W ZSRR

WSTĘP.

Leży przede mną tomik wydawnictwa Narodowego Komisariatu Obrony Związku Socjalistycznych Republik Rad, noszący tytuł „Kolektywne polowania" — Moskwa, 1939 r.

Autorem wydawnictwa jest Centralna Rada Wszechwojskowego Wojenno - Myśliwskiego Towarzystwa. Skrót na monogramie, zestawionym z emblematów państwowych, zawiera napis: „Wydawnictwo wojenne".

Kilka pierwszych rozdziałów książki, przetłumaczonych poniżej, wyjaśnia podstawy wojskowych organizacji, na których opiera się zbiorowy charakter tego sportu w ZSRR. Z tego względu więc zainteresuje naszych czytelników.

W następnych numerach Łowca Polskiego podam tłumaczenia bardziej już specjalnych opisów polowań, zatytułowanych: „Słonka", „Głuszec" itd., które z powodu odrębnych warunków będą dla nas szczególnie ciekawe.

ORGANIZACJA KOLEKTYWNYCH POLOWAŃ.

Podstawy ogólne.

Każde polowanie, dokonywane przez kilku lub więcej myśliwych, na podstawie pewnego porządku organizacyjnego, dążącego do skoordynowania działań, nazywamy polowaniem kolektywnym.

Kolektywne polowania, dokonywane przez kilku lub więcej myśliwych na podstawie pewnego porządku organizacyjnego, dążącego do skoordynowania działań, nazywamy polowaniem kolektywnym.

Kolektywne polowania są głównym rodzajem polowań, dokonywanych przez organizacje myśliwskie jednostek i oddziałów R. K. K. A. Dostarczają one zdrowej rozrywki oraz kulturalnego odpoczynku członkom organizacji myśliwskich, a także przyczyniają się do powstania pożytecznych przyzwyczajeń, mających cenne właściwości w życiu obozowym. Ilość członków kolektywnego polowania określa się każdorazowo w zależności od warunków terenowych, a także od charakteru i sposobu samego polowania.

Polowania kolektywne mogą odbywać się albo przy udziale wszystkich członków, operujących łącznie, albo też w gronie poszczególnych grup myśliwych, działających oddzielnie, według przewidzianego planu oraz ustalonej marszruty.

Kierownik kolektywnego polowania i jego pomocnik.

W celu prowadzenia kolektywnego polowania obiera się kierownika, który ponosi odpowiedzialność za stosowanie się uczestników do obowiązujących myśliwskich przepisów oraz do ułożonego planu danego polowania. Oprócz kierownika wyznacza się zwykle także jego pomocnika, którego zadaniem podstawowym są obowiązki o charakterze gospodarczym. W razie gdyby ogół członków wspólnego polowania został podzielony na grupy, wówczas dla każdej z nich wyznacza się także poszczególnych kierowników. Kierownicy grup mają obowiązek wypełniania wszystkich zaleceń, udzielonych przez głównego kierownika danego zespołu myśliwskiego.

Doboru kierowników oddziałów grup dokonuje biuro kolektywu, przeważnie spośród osób, należących do dowództwa i to takich, które posiadają rutynę myśliwską i uprzednio brali już udział w zbiorowych polowaniach.

Kierownik polowania łączy w sobie jednocześnie funkcję naczelnika oddziału. Ponosi osobistą odpowiedzialność za właściwe prowadzenie polowania, za wykonanie postawionych temuż zadań, a także za przedsięwzięcie wszelkich środków ostrożności tak na polowaniu jak i podczas drogi.

Do obowiązków kierownika polowania należy:

Gruntowne poznanie głównych i ubocznych zadań ekspedycji (ekskursji) myśliwskiej oraz rozdział między uczestników ich obowiązków.

Podział uczestników w razie potrzeby na grupy, wyznaczenie dla tych grup kierowników oraz udzielenie każdej grupie dyrektyw.

Utrzymanie porządku i dyscypliny w czasie trwania polowania.

Zorganizowanie kierunków ruchu, łączności, ustalenie prawideł strzelania oraz linii ognia.

Zaznajomienie się z terminami i przepisami myśliwskimi w danym rejonie oraz dopilnowanie myśliwych, aby dostosowali się do ustalonych odstrzałów.

Znajomość prawideł obchodzenia się z bronią oraz umiejętność ich przekazania całemu zespołowi myśliwskiemu.

Posiadanie potrzebnego doświadczenia w strzelaniu do celów ruchomych, a także sprawne organizowanie linii ognia i to w dowolnych warunkach otoczenia.

Umiejętność zorganizowania pierwszej pomocy lekarskiej.

Umiejętność zdobycia sprzętu, materiałów i innych akcesoriów, potrzebnych dla mającego się odbyć polowania.

Dokładne liczenie się z warunkami meteorologicznymi danego terenu i odpowiednie wyekwipowanie na tej zasadzie, szczególnie zimą, całego zespołu ekskursji.

Skontrolowanie zawczasu stanu broni każdego z myśliwych, zaś w razie konieczności zastosowanie odpowiedniego remontu, uzupełnień lub ewentualnego przystrzelania broni.

Ustalenie na każdego uczestnika polowania odpowiedniej ilości zaopatrzenia, tj. ekwipunku, nabojów, prowiantu itp.

Osobiste prowadzenie dziennika myśliwskiego.

Zaopatrzenie ekskursji w środki przewozowe, o ile — zgodnie z planem kolektywnego polowania — transport ten jest przewidziany i o ile istnieje na to zezwolenie dowództwa.

Zaopatrywanie członków ekspedycji w żywność.

Organizacja popasów i noclegów.

Prowadzenie gospodarczej rachunkowości oraz dbałość o celowe zużywanie środków pieniężnych.

Pomocnik kierownika polowania ponosi pełną odpowiedzialność za punktualne żywienie całego zespołu oraz za właściwe zaspokojenie jego potrzeb.

Tomasz Zan (senior)

Studzionka, 5 1949 r.

ANTONI T. MALIŃSKI

STARA PILICA

Rok 1942, marzec. Okoliczności zmusiły mnie do szybkiego wyjazdu z Warszawy. Po dwutygodniowym kluczeniu i zacieraniu śladów, wylądowałem w okolicy Spały nad Pilicą. Przemożna pasja łowiecka, przygłuszona zgiełkiem wielkiego miasta, tutaj, w ciszy prastarych borów, odświeżyła się i odżyła. Przez kilkuletni pobyt przywiązała mnie ta biedna okolica, udzieliła mi niezapomnianych wrażeń myśliwskich, których wspomnienia przytaczam.

Pusto tu teraz i głucho. Spała tętni tylko życiem Ośrodka Wypoczynkowego KCZZ. Lasy i pola straciły gros swej hodowanej zwierzyny. Znikły chmary jeleni, rdzewieją kojce na sztuczny chów dzikich kaczek w Cetniu i Borkach. Przerzedzono dawne spalskie bory i brak już czeskich zajęcy. Są dziki, żubry w Smardzewicach, są i kaczki. Kaczki, nie te hodowane i podkarmiane, które jeszcze w 1942 r. pływały bez obawy stadami po okolicznych stawach. To „sanacyjne" pokolenie zniknęło. Są kaczki prawdziwe, dzikie, zwinne i bystre jak Pilica, czujne jak każdy tu zwierz, narażony na rozliczne przygody i różnych łowców.

Dwieście metrów przed domem mam rzekę. To Pilica. Czysta, bystra woda. Malownicze brzegi o urwistych krawędziach. Niespokojny nurt, potrafiący w czasie wiosennych powodzi wyrządzić nie lada niespodzianki. Pilica, kapryśna i niestała (wiadomo — ona), co rok o innej głębokości i zmieniających się wędrownych łachach. Wokół lasy ciche i ciemne. Na zakrętach, zwalone wiosenną powodzią olchy tworzą zdradliwe wiry w gmatwaninie pni i gałęzi, wiry o niepokojącej głębinie — siedlisko wyder. Gdzie indziej, na łagodnych zakrętach o płytkim kamienistym dnie, spotykasz brzanę, piliczny wyłącznie przysmak — rybę dużą i wyśmienitą.

Setkę lat temu, burzliwa rzeka wyrwała się ze swego koryta, przebiła lasy na wprost, zostawiając z prawa dawne koryto: Starą Pilicę, o której dzisiaj wspominam. Stara rzeka w ciągu dziesiątków lat zarosła szuwarami i „jemiołą", ostrą trawą, zwaną tak w tutejszej gwarze. Liczne strugi, jeziorka i oka tworzą na przestrzeni dwóch kilometrów dzikie bagnisko, kaczy raj.

Zmęczony wojenną tułaczką przez trzy lata okupacji odwiedzałem wiele razy dzikie uroczysko, czerpiąc z surowego piękna ukojenie i nadzieję na przetrwanie. Po wyzwoleniu, Stara Pilica stała się ulubionym terenem kaczych polowań.

Letnie polowania dają rezultat raczej kiepski. Szuwar sięga pasa, a pod nim topiel błotna o lodowatej nawet w lipcu wodzie, nie pozwala na dłuższe polowanie. Kaczki dosiadują niezwykle twardo, niechętnie opuszczając obronne bagna. Pies po ciężkim terenie rychło się męczy i pasuje. Właściwe też łowy zaczynają się twardą jesienią, w listopadzie i grudniu. Tęgie zimy zwiększają zloty, łagodne zaś wybitnie je zmniejszają.

Koniec października lub później, zależy od pogody, pojawiają się na „nowej" Pilicy ogromne stada krzyżówek, które przez cały dzień wypoczywają na łachach, niedostępnych wyspach lub wprost na dużej wodzie. Stada są bardzo czujne, a wystawiane straże ostrzegają towarzyszy przed nadchodzącym myśliwym z odległości kilkuset metrów.

Pod wieczór słychać z dala głośne rozhowory kaczek, zmawiających się na nocne żerowiska. Te żerowiska, to Stara Pilica. Uroczysko nie zamarza w najtęższe mrozy. Większe okna wodne tylko duży mróz bierze, reszta pozostaje dymiącym błotem.

Ciągi odbywają się nieregularnie. Kaczki mało strzelane przychodzą wcześniej sporymi stadami, okrążając błota, i zapadając na wodę. Strzelane przez kilka wieczorów przychodzą późno, prawie o zmierzchu, parami i małymi stadkami po 5—7 sztuk, zapadając z wysoka, bez krążenia, w szuwary i trawy, unikając strug i otwartej wody. Strzał do takich kaczek jest niesłychanie trudny, o czym świadczy choćby fakt, że jeden ze znanych strzelców rzutkowych strzelił u mnie 10 razy, ledwo barcząc jednego kaczora.

W listopadzie 1947 roku wyszedłem z domu po południu, korzystając z mroźnego dnia, na ciągi. Godzina pół do czwartej. Księżyc przed pełnią, mimo dnia, stał już wysoko na niebie. Gumowe buty, ciepłe pończochy, krótka siekierka w torbie i jazda!

Kra płynie Pilicą i na zakrętach wolnych od lodu widać z daleka zrywające się stada, które po dłuższym locie lądują hen, pod Tomaszowem. Idę szybko, by zdążyć, gdyż niebo na zachodzie szybko z czerwieni przechodzi w mosiądz. Przeprawa przez znajome brody, przy pomocy naciętych siekierką gałęzi, pobieżny przegląd tropów lisich nad „Gawędowym Błotem" i dochodzę. Błoto dymi jak kurz latem na szosie. Wybieram stanowisko nad większym, niezamarzniętym oknem. Stoję pod grupą olch, twarzą na zachód, by móc dłużej widzieć. Obcinam kilka gałęzi, przeszkadzających mi, i czekam. Kępy olszyn na brzegach stają się fioletowo - niebiesko - czarne, zorza na zachodzie jeszcze jasna, lecz bledsza i górą zlewa się już z ciemniejącym błękitem nieba. Wbijam w pamięć każdy szuwar na lustrze wody, każdą kępę, krzaczek czy gałąź. Cisza. Słychać szmer kry na rzece i szczekanie psów. Puszczyk gdzieś w lesie zawodzi.



Z kaczorem *fot. Z. Drzewicz*

Ucho wysubtelnione łowi każdy dźwięk. Szelest leśnej myszki, przebiegającej pod sąsiednim pniakiem, słyszę równie głośno jak turkot wozów, jadących od Spały. Teraz dźwięk nowy, dźwięk inny od chrzęstu kry. To one! Idą! Świszczący ton skrzydeł ciągnących kaczek zbliża się, rośnie. Słychać już szept kaczora i pogwar ciągnącego stada. Gwiazda jedna i druga pali się już. Kaczki idą od księżyca (coś jak z Meissnera). Choć nie jestem meissnerowskim Pryszczykiem, jednak wypatruję oczy równie dobrze jak tylny strzelec Genowefy i równie nie na próżno. W jasnym pasie gasnącej zorzy pojawiają się sylwetki nadlatującego stada, potem drugiego. Ba-bach!—kaczki z przerażeniem znikają zdrowe. Tfu! Ciąg trwa. Z tyłu, z boku, z góry nadciągają pary i stadka. Pęd hamowanego skrzydłami powietrza ogarnia raz po raz falami twarz. Bęc! Leży, drugi raz. Jest! W momencie strzałów parę sztuk zapada na lustro. Dwa pośpieszne strzały. Jedna leży. Zaczyna być coraz ciemniej. Kaczki ciągną jak nigdy. Kluczami, parami, pojedyńczo, zapadają. Chwilami bryzgi wody, roztrącanej gwałtownym poślizgiem wodującej kaczki, sięgają twarzy. Strzela się po omacku, na pamięć. Zorze zgasły, księżyc wiszący wysoko wyolbrzymia zimnym światłem kontury drzew.

Pora zebrać łupy. Na śnieżnym obrywie brzegu leżą dwa kaczory. Reszta na wodnym szkle. Zrzucam kożuszek, siekierką wyrąbuję młode, długie olszynki i robię kładkę na błoto. Kładę po kilka drzewek przed siebie i wchodząc po nich, wciągam dalsze, przedłużając w ten sposób most. Po dłuższej chwili, mostek sięga do połowy wodnej przestrzeni. Stoję na wąskiej kładce, starając się dostać długą tyką kaczki, leżące na wodzie. Na nic. Trzeba mostek przedłużyć. Wierną towarzyszkę kaczych łowów, czarną seterkę Hajdę skradziono mi latem. Na dziś trzeba zakosztować samemu psiej doli. Niebo tymczasem chmurzy się i rusza się wiatr.

Nie wiem czy próbował ktoś z myśliwych w centralnej Polsce takich wyczynów jak ja obecnie. Posuwam się powoli w ciemności na wątłej kładce, mając pod sobą płytką wodę i bezdenne bagnisko. Każdy krok, a raczej posuw, trwa kilka minut. Jestem już blisko brzegu i nie mogę wyleźć. Gałęzie rozsunęły się i połamały. Noga, nie mając oparcia, więźnie w bagnie z niemiłym bulgotem. Jeszcze kilka prób i staję. Sposób wyjścia z przykrej sytuacji jest tylko jednego rodzaju. Nolens volens, bez kąpieli się nie obędzie. Psia krew. Jestem jak zwierzak w matni. Wejść — weszło się, wyjść — nie ma jak. Jestem jeszcze suchy. Tu i kaczek szkoda i samemu chciało by się wyjść nie zmęczonym. Trzeba zrzucić pychę z serca i próbować. Łamię tyczkę, służącą mi za podporę, kawałki układam przed sobą w błocie i pół idąc, pół pełznąc, gramolę się na zbawczy brzeg.

Nie miałem możności obejrzenia się wtenczas, lecz po powrocie do domu synek mój, Wojtuś, określił, że „Tatuś wygląda jak duża żaba, co dopiero wylazła z błota"... Duża żaba, jednak zgoła nie żabim zwyczajem, napiła się „wzmocnionej" herbaty i dała nura pod pierzynę, chcąc uniknąć reprymendy swej „lepszej" połowy.

Rankiem wyjechałem wozem z łódką i podniosłem z nieszczęsnego błota jeszcze pięć kaczek.

Przygoda ta, jedna z wielu, nie odstręczyła mnie jednak od groźnego i bogatego terenu. Wielokrotne wizyty, składane kaczkom, nauczyły mnie (i kaczki) wielu wybiegów i jeszcze bardziej pozwoliły ukochać dzikie uroczysko Starej Pilicy.

Antoni T. Maliński

Grudzień, 1948 r.

Kalendarzyk myśliwski

Stosownie do rozporządzenia Prezydenta RP z dnia 3 grudnia 1927 r., uzupełnionego rozporządzeniem Ministra Leśnictwa z dnia 12 maja 1948 r. (Dz. U. R. P. nr 28), dozwolone jest polowanie na następujące zwierzęta łowne (znak +):

	w maju	w czerwcu
dziki	+	+
lisy	+	+
wilki	+	+
króliki	+	+
kuny domowe (kamionki)	+	+
tchórze, łasice, gronostaje	+	+
wydry	+	+
głuszce koguty	do 15	—
cietrzewie koguty w województwach: krakowskim, łódzkim, wrocławskim, rzeszowskim i białostockim	do 15	—
słonki	do 15	—
bataliony	+	—
dzikie kaczory	+	—

KILKU „OBRAŻONYM" W ODPOWIEDZI

Artykuł mój, umieszczony w numerze 9 Łowca Polskiego z września 1948 r., wywołał oburzenie kilku pracowników administracji lasów państwowych z powodu rzekomo zawartej w nim obrazy dobrego imienia leśnika polskiego.

Nawiązując do głosu jednego z „obrażonych", p. Jana Jastrząb Kwiatkowskiego, leśniczego z Nadleśnictwa Oborniki Śląskie, uważam za wskazane dać kilka wyjaśnień.

Inż. Karol Ring w końcowej części swego artykułu zaleca wypłatę premii funkcjonariuszom administracji lasów państwowych za odstrzał drapieżników, wyrażając jednocześnie żal, że nie wszystkich leśników stać na kupno broni myśliwskiej.

Przeciwstawiając się poglądom inż. Ringa, co do bezwzględnej szkodliwości drapieżników i wskazując na istotnych, moim zdaniem, sprawców wyniszczania zwierzyny, tj. człowieka oraz włóczące się psy i koty, nie podzieliłem w moim artykule poglądu inż. Ringa co do potrzeby uzbrojenia wszystkich leśniczych i gajowych w broń myśliwską.

Rozumiejąc jednak konieczność uzbrojenia terenowych funkcjonariuszów administracji lasów państwowych w broń w celu umożliwienia im należytego pełnienia obowiązków, uważałem, że należy zaopatrzyć ich w krótką broń kulową. Natomiast broń myśliwską winni, według mnie, posiadać tylko leśnicy — myśliwi, bez względu na stanowisko służbowe, zrzeszeni w Polskim Związku Łowieckim i zorganizowani w kołach łowieckich. Broń myśliwska byłaby używana przez leśników — myśliwych zarówno dla celów służbowych, przy dokonywaniu odstrzału hodowlanego lub szkodników, jak i przy wykonywaniu polowania na terenach przez nich dzierżawionych lub im przez dyrekcje lasów przydzielonych. Uzasadniając swoje stanowisko użyłem zwrotu, że po wojnie wytworzył się nowy typ kłusownika — — „kłusownika — leśnika" oraz że „wielu leśniczych i gajowych" uprawia kłusownictwo.

Dowodem tego, że zdania te nie zostały opacznie zrozumiane przez ogół kolegów - leśników, szczególnie leśników — myśliwych, jest to, że poza kilku dosłownie kilku osobami, nikt nie poczuł się dotknięty. Postawiony na odbytym w październiku 1948 r. zjeździe nadleśniczych we Wrocławiu wniosek, dotyczący powzięcia uchwały, potępiającej mój artykuł — nie znalazł poparcia zebranych.

Widocznie leśnicy, czytelnicy Łowca Polskiego, z wyjątkiem tych kilku, zrozumieli właściwie zasadniczą myśl przewodnią mojego artykułu i poszczególne jego zdania. Inaczej jest z p. J. Jastrząb Kwiatkowskim. Potrafił on wyczytać w moim artykule, że uważam leśnika polskiego za „głównego sprawcę wyniszczenia zwierzyny łownej", że istnieje „nowy typ leśnika — kłusownika".

Konia z rzędem temu, kto znajdzie w moim artykule takie zdania!

Oczywiście, po doszukaniu się wyżej przytoczonych zdań, pan Kwiatkowski obraził się w imieniu „leśnika", chociaż sam pisze w dalszym ciągu artykułu: „nie przeczę, że w pierwszych latach powojennych leśnicy polscy, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych, mieli na sumieniu może niejedną sztukę".

Chcąc wyprowadzić mego przypadkowego przeciwnika z błędnego mniemania o jego nieomylności i wszechwiedzy w przeciwstawieniu do mojej nieznajomości spraw łowieckich, radzę zapoznać się z zarządzeniem nr 30 Ministerstwa Bezpieczeństwa z dnia 14 XII 1945 r. nr 08217/45, które podaje komu przysługuje prawo otrzymania pozwolenia na broń myśliwską, bez obowiązku należenia do PZŁ. Zarządzenie to wysłało Ministerstwo Leśnictwa do wszystkich dyrekcyj okręgowych lasów państwowych, zaś Komitet Wykonawczy PZŁ wysłał je do wszystkich wojewódzkich rad łowieckich.

W każdej wojewódzkiej radzie łowieckiej można otrzymać wyjaśnienie, że dla otrzymania pozwolenia na broń myśliwską wymagany jest nie tylko od leśnika, ale od każdego członka PZŁ nieleśnika, spełnienie warunków artykułu 27 ustawy łowieckiej z dnia 23 XII 1927 r., nie wystarcza zaś samo należenie do „kółka myśliwskiego".

W drugiej części artykułu omawia p. Kwiatkowski sprawę szkodliwości zwierzyny płowej dla lasu, zagospodarowanego według nowoczesnych zasad oraz szkodliwości dzików dla gospodarki rolnej. Poza tym mówi o konieczności wzmożonego odstrzału zwierzyny grubej, o płynących stąd korzyściach dla Skarbu Państwa, o wysokich odszkodowaniach, płaconych rolnikom.

Sprawę uzgodnienia gospodarki łowieckiej z gospodarką leśną uważam nie tylko za „dość poważną", ale za bardzo poważną. Zagadnienia te omówił już w grudniowym zeszycie Łowca Polskiego kol. Władysław Zabiełło, wytrawny myśliwy choć „nieleśnik", obecnie kierownik referatu łowieckiego Dyrekcji Lasów Okręgu Bałtyckiego. Zagadnienie to zapewne będzie jeszcze tematem wypowiedzi wielu innych myśliwych. Na razie oświadczam tylko, że jestem gorącym zwolennikiem gospodarki leśnej bezzrębowej, pomimo że w okresie przejściowym wywoła ona szereg trudności i zaburzeń w gospodarce łowieckiej.

Sądzę, że p. Jastrząb Kwiatkowski przyjmie moje rady, a uzupełniwszy swe wiadomości ze źródeł przeze mnie podanych, przyzna mi, że nie mam zamiaru „spowodować przewrotu w całej administracji lasów państwowych", lecz słusznie uważam za konieczne powierzenie opieki nad zwierzyną nie „leśnikowi— drzewiarzowi", jak mówi inż. Ring, ale „leśnikowi — myśliwemu".

Sądzę również, że autor „odpowiedzi" zechce zaliczyć siebie nie do tych „wielu leśniczych i gajowych", spośród których wytworzył się, prawdopodobnie przejściowo, „typ kłusownika — leśnika", lecz do tej większości leśników, do których ja — „nieleśnik" — mam zaszczyt siebie od 25 lat zaliczać, a którzy tworzą typ leśnika — urzędnika, stojącego na straży dobra narodowego i prawa, i spośród których zaczyna się obecnie zarysowywać typ leśnika — myśliwego.

W oparciu o zdobycze nauki, korzystającej ze współpracy bezpośredniej czy pośredniej ludzi szczerze interesujących się przyrodą, leśnik polski przywróci lasom ich pierwotny charakter ze wszystkimi biocenotycznymi składnikami.

Inż. E. Frankiewicz

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

W dn. 8 marca zmarł **inż. Tadeusz Metzig**, wybitny znawca łowiectwa, jeden z seniorów Polskiego Związku Łowieckiego, współtwórca Wielkopolskiego Związku Myśliwych, członek Komitetu Redakcyjnego Łowca Wielkopolskiego, organizator pawilonu łowieckiego na pierwszej Wystawie Krajowej w Poznaniu.

Urodził się w 1876 r., w Poznańskim. Zmarły był typowym myśliwym starej daty, z ogromnym zasobem wiadomości z każdej dziedziny łowiectwa i z głębokim ukochaniem kniei i pól. Zbliżenie do życia w warunkach przyrody pierwotnej urobiło w śp. T. Metzigu charakter wyjątkowej pogody i równowagi ducha, toteż obcowanie z nim dawało chwile prawdziwego odprężenia podczas spotkań na łowach, które umiał wprawnie zorganizować i ożywiać opowiadaniami i humorem. Pisma łowieckie zasilał cennymi artykułami.

Zdobyte doświadczenie łowieckie zużytkował Zmarły w przygotowanej do druku pracy o hodowli i ochronie zwierzyny łownej — której wydania już się nie doczekał.

Cześć pamięci wzorowego myśliwego i serdecznego Kolegi!

J. Gieysztor

z literatury ŁOWIECKIEJ

I.

„PIES“ — organ Związku Kynologicznego w Polsce, Warszawa, Nowy Świat 35, cena zeszytu 150 zł, w prenumeracie rocznej 600 zł. Konto PKO I-9190.

Ukazał się zeszyt drugi „Psa“, oznaczony liczbą 1(2) 1949 r. W porównaniu z zeszytem pierwszym wykazuje pismo niewątpliwy postęp pod względem układu, gdyż tym razem zeszyt poświęcony jest w przeważnej części psu myśliwskiemu — a o niego nam, myśliwym, przede wszystkim chodzi.

Artykuł wstępny podnosi bolączki hodowli psa rasowego w Polsce, sprowadzające się do dwóch głównych momentów: braku uświadomienia w społeczeństwie co do znaczenia rasowości u psów i niezrozumiałego ustosunkowania się władz samorządowych do hodowli psów rasowych, wyrażającego się w obciążaniu podatkami, uniemożliwiającymi jej prowadzenie. Dopóki te dwie przeszkody nie zostaną przezwyciężone mnożyć się będą u nas kundle oraz, co gorsza, psy bezdomne, polujące samopas w polu i lesie i szerzące wściekliznę.

Artykuł redaktora pisma, kol. M. R. Kryspina, poświęcony pointerowi, daje krótką historię powstania i rozpowszechnienia tej najdoskonalszej rasy psa legawego i charakteryzuje jego zalety łowieckie. W związku z tym podany jest szczegółowy opis cech zewnętrznych, wymaganych przy kwalifikowaniu pointera na wystawach oraz wady w pracy, ujawnione na próbach polowych.

Dobrym uzupełnieniem tego artykułu jest korespondencja kol. S. Nowickiego, informująca o stanie hodowli pointera w Anglii. Jest spostrzeżeniem bardzo ciekawym, że właśnie w Anglii, tej klasycznej ojczyźnie psa legawego, dają się zauważyć dwa odchylenia od ogólnie uznanych reguł hodowli. Pierwszym jest położenie głównego nacisku na kształty zewnętrzne psa z pominięciem jego zalet polowych (do wiatru włącznie), a drugim — stosowanie w szerokim zakresie krzyżowania płci w bliskim pokrewieństwie. Oba te odchylenia, tłómaczące się wyłącznie dążnością do osiągnięcia najbardziej efektownego zewnętrznie okazu psa i zdobycia championatu, grożą wypaczeniem idei wychowania psów polowych, współtowarzyszów myśliwego, albo zastąpieniem ich—jak o tym poucza zamieszczony rysunek—ułożeniem wieprza do wystawiania ptactwa.

Zeszyt uzupełnia praca dra E. Szyfelbeina „Zasady hodowli i chowu psa“ oraz korespondencje z ZSRR, Anglii i Czechosłowacji, a ponadto komunikat Związku Kynologicznego w sprawie szczepień przeciw wściekliźnie, z uwagi na częste wypadki porażenia psów pod wpływem szczepionki.

II.

Józef Gieysztor

„NASZA ZWIERZYNA ŁOWNA“ — Niwa Leśna nr 11 (dodatek do Głosu Lasu). Z dużym opóźnieniem, ale w dobrym układzie ukazał się zeszyt listopadowy Niwy Leśnej, poświęcony niemal w całości zwierzynie łownej i łowiectwu. Rozpoczyna zeszyt artykuł wstępny dyr. Z. Obmińskiego pt. „Gospodarcze znaczenie łowiectwa“. Punktem wyjścia autora jest teza, że łowiectwo jest, a przynajmniej powinno być, terenem działania planowego, mającego zadanie zaspokojenia w swoim zakresie potrzeb gospodarczych kraju. W związku z tym formy użytkowania łowiectwa (myślistwo) nie mogą naruszać zapasu produkcyjnego — (zwierzyny) i musi tu obowiązywać zasada ciągłości produkcji i trwałości użytkowania. Zaś dla osiągnięcia tego celu w gospodarstwie łowieckim musi być zachowana najdoskonalsza równowaga biologiczna i ekonomiczna. Realizatorów tych założeń przestrzega autor przed wyolbrzymieniem pojęcia szkodliwości gospodarczej niektórych zwierząt łownych, jak np. dzik czy lis. Zwierzyna bowiem łowna odgrywa poważną rolę w biocenozie ogólnej, kompensując pewne szkody, przyczyniane przez jej tryb życia — poważnym pożytkiem w postaci niszczenia drobnych szkodników lub usuwania zwierząt padłych, chorych lub wynaturzonych. Zresztą i te szkody są najczęściej wynikiem naruszenia przez człowieka zasad racjonalnej hodowli, ochrony czy użytkowania zwierzostanu.

Charakteryzując dalej czynności, składające się na gospodarcze znaczenie łowiectwa, autor podnosi korzyści, jakie kraj osiąga z racjonalnej hodowli zwierzyny w postaci mięsa, skór, futer, z wpływów do Skarbu Państwa z tytułu podatków, opłat czynszu dzierżawnego, kart łowieckich, pozwoleń na broń itp., z dochodu ludności w postaci opłacania naganiaczy, podwód, noclegów itd., wreszcie z rozwoju fabryk broni, amunicji myśliwskiej i ekwipunku.

Drugim artykułem o charakterze programowym jest szkic inż. A. Brodzikowskiego pt. „Hodowla i ochrona zwierzyny łownej“. W formie zwięzłej, lecz jasnej, podaje autor szereg praktycznych wskazówek o sposobach hodowli zwierzyny, konieczności utrzymywania właściwego stosunku liczebnego płci, potrzebie odstrzału hodowlanego i selekcyjnego, zakładaniu poletek karmnych względnie karmników, wodopojów i lizawek, itp. W zakresie ochrony szczególny nacisk kładzie autor na zachowanie spokoju w łowisku, zwłaszcza w okresie lęgów, na zwalczanie kłusownictwa i wnykarstwa oraz na usuwanie nadmiaru drapieżników, specjalnie skrzydlatych.

Resztę działu łowieckiego w zeszycie wypełniają artykuły inż. A. Szułczyńskiego i A. S., poświęcone charakterystyce naszej zwierzyny łownej pt. „Zwierzyna naszych dolin i gór“ oraz „Z życia naszych zwierząt łownych“, ilustrowane dobrymi zdjęciami.

J. Gieysztor

Ciekawe zjawisko

Dr J. Marchlewski, profesor - biolog przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, donosi nam o ciekawym zjawisku, zaobserwowanym w prowadzonych przezeń wolierach doświadczalnych Uniwersytetu. Od drugiej połowy marca, przebywający w wolierze oswojony cietrzew, rozpoczął tokowanie, które trwa już dwa tygodnie, pomimo łoskotu obok przebiegających tramwajów i gwaru miejskiego. Skłoniło to kierownictwo zakładu biologii do wstawienia do woliery specjalnie skonstruowanej, wypchanej ciecorki. Roznamiętniony kogut tłoczy tę namiastkę kury, a zebrane nasienie ma służyć do prób krzyżowania cietrzewia z bażancicą i z kurą domową. Ciekawe będą wyniki tej rzadkiej próby krzyżowania międzyrodzajowego. *J. G.*

Państwowy szpital **w Kocborowie,** powiat Starogard, kupi natychmiast jedną **fretkę.**

Redaktor — prof. J. Gieysztor Warszawa, ul. Nowy Świat 35, konto PKO I-1077.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki

Zam. 700 **Z. G. P. W. Nr 1** **B-71459**

Prenumerata ŁOWCA POLSKIEGO

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za 1949 r., otrzymują Łowiec Polski bez żadnej dopłaty.

Z uwagi jednak że nakład pisma musi być dostosowany do ilości zarejestrowanych członków, a do dn. 31 marca br. wpłynęło do redakcji zaledwie 20 tysięcy adresów członków, zarejestrowanych przez rady wojewódzkie — przeto w okresie styczeń—kwiecień Łowiec Polski był drukowany w ilości 25 tysięcy egzemplarzy.

Powiększenie nakładu, pociągające za sobą duży wzrost wydatków na papier i druk, uzależnione będzie od dopływu nowych wykazów członków, ale dostarczenie opóźnionym członkom czterech pierwszych zeszytów dokonywać się będzie tylko w granicach posiadanego zapasu.

Uprzedzamy o tym kolegów-myśliwych, aby nie byli zaskoczeni, gdy zabraknie im numerów do kompletu pisma.

Ponadto przypominamy, że przy zgłoszeniu zmiany adresu należy dołączyć 50 zł na koszt wykonania nowej kliszy adresowej. Za każde upomnienie o nadesłanie tej kwoty doliczamy koszt upomnienia w kwocie 10 zł.

Osoby postronne otrzymują Łowiec Polski po wpłaceniu na konto Łowca Polskiego w P. K. O. nr I-1077 kwoty 600 zł w stosunku rocznym lub 60 zł za 1 zeszyt

Redakcja

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 20.000 zł, za ¾ strony — 15.000 zł, za ½ strony — 12.000 zł, za ¼ strony—8.000 zł, za 1/8 strony — 5.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne, prywatne, zwykłym drukiem — po 20 zł za wyraz, grubszym drukiem — 30 zł za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, dyrekcje lasów państwowych oraz zarządy państwowych nieruchomości ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do administracji pisma.

WOJEWÓDZKA RADA ŁOWIECKA W RZESZOWIE

powiadamia, iż w dn. 15 maja (niedziela) 1949 o g. 10-ej odbędzie się w Urzędzie Wojewódzkim (sala nr 2)

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego Okręgu Rzeszów

z następującym porządkiem obrad:

1) Zagajenie.
2) Odczytanie protokołu z ostatniego walnego zgromadzenia wojewódzkiego,
3) Sprawozdanie z dotychczasowej działalności Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.
4) Wnioski komisji rewizyjnej z budżetu, kontroli za okres sprawozdawczy i na udzielenie absolutorium Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej.
5) Wnioski Wojewódzkiej Rady Łowieckiej: celem zatwierdzenia preliminarza budżetowego na rok 1949.
6) Dyskusja.
7) Wybór komisji matki celem:
   a) dokonania wyboru członków do Wojewódzkiej Rady Łowieckiej; prezesa, 2 wice-prezesów i 5—10 członków,
   b) wyboru 3 członków komisji rewizyjnej i 2 zastępców,
   c) wyboru 2 delegatów na walne zgromadzenie związku,
   d) ustalenie składu osobowego:
      1) sekcji propagandowej,
      2) sekcji kynologicznej,
      3) komisji strzelectwa myśliwskiego.
8) Wnioski na Radę Naczelną,
9) Wolne wnioski i interpelacje.